Cena 40 gr. Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ODNOWA

TYGODNIK

24 Styczeń 1937 r. Niedziela Rok II. Nr. 6.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Traugutta Nr. 3, m. 6. Telefon: 6.97-99.

RYSZARD ŚWIĘTOCHOWSKI.

Co dalej?

Daliśmy już na tem miejscu wyraz najprzyjaźniejszym uczuciom dla ruchu włościaństwa polskiego i, co więcej, stwierdziliśmy nietylko nasz pogląd, lecz fakt objektywny, jasny, istotny dla całej polityki państwa, że losy przyszłości Polski zależą przedewszystkiem od chłopów. W powitaniu kongresu ludowego daliśmy świadectwo prawdzie dziejowej.

Obecnie, po zakończeniu prac kongresu, po cząstkowem ogłoszeniu uchwał przez prasę, po niedomówieniach publicznych i obfitości szeptów prywatnych, po obliczeniu siły, głębokości i kierunku nurtu ludowego — należy sobie zdać sprawę z doniosłości zjawiska i jego zasięgu politycznego. Przez rozćwierkaną stolicę przetoczył się fakt olbrzymi. Każdy z czytelników nawet białych plam w pismach zdaje sobie sprawę, że koło przeznaczenia jest w ruchu, że jeśli dzisiaj wyciska żłobiny na szlaku politycznym w formie rezolucji, to jutro pójdzie dalej, musi pójść dalej, że rozpętała się energja morza ludowego i płynie fala dla tych dobroczynna, dla owych groźna, a dla wszystkich wielka i niepowstrzymana. A tembardziej każdy z kilkuset uczestników kongresu musiał odczuć ciężkie brzemię obowiązku moralnego, jaki na niego włożyła przynależność do masy decydującej. Po powrocie na tereny miejscowego działania sam się spyta swego sumienia i pytanie to usłyszy od swych współbraci: co dalej?

Nie zapominajmy przecież, iż w roku ubiegłym chłopi kilkakrotnie gromadzili się w krociowych a nawet miljonowych rzeszach, że powzięli odpowiednie uchwały, a i kongres jesienny także odbyli. Miałoż-by być obecne zebranie tym przysłowiowym panem Jowialskim politycznym, który opowiada historyjki wprawdzie udatne, ale aż do znudzenia wszystkim znane? Pierwsze lepsze pisemko prowincjonalne, które nożycami wystrzyże okruchy tolerancji cenzora z innych gazet w kraju, daje ten sam materjał krytyczny. Więc nie tego doszukujmy się w obradach kongresowych bez względu na pozory, jakie mogłyby nasunąć ogłoszone i nieogłoszone uchwały zjazdu i bez względu na kokieterje innych ugrupowań, tęskniących do cudzej potęgi.

Wnioski z kongresu są bardziej różnorodne. Po pierwsze: jednomyślność organizacyjna chłopów usuwa wszelkie złudzenia o możliwości rozłamu, bo zcementowano ją dwukrotnie: sprawą emigrantów politycznych i sprawą ordynacji wyborczej. Po drugie: stosunek chłopów do ich wodza przemienił się z rozumowanych wniosków w akt wiary fanatycznej. Takiej wiary nie złamie przemoc, nie wynaturzy spryt konkurencyjny, nie załagodzi czas, nie rozłoży żaden ferment wewnętrzny. Po trzecie: nacjonalizm chłopski jest bezbarwny, czysty, ani biały, ani czerwony, niemniej jednak szczery i oporny na działanie jakiejkolwiek doktryny skrajnej społecznie lub politycznie. Po czwarte: poczucie mocy chłopskiej wzrosło do tego stopnia, że nie oglądają się za sojusznikami i nie wierzą w kompromisy. Po piąte: nie chcą oczekiwać bezczynnie. Po szóste: władze naczelne stronnictwa, które w przezorności politycznej unikają hazardów jawnych, będą musiały głęboko się zastanowić i odpowiednie konsekwencje wyciągać ze wzrastającego dynamizmu mas, dotychczas powolnych kierownictwu.

Jest rzeczą wyraźną, że jeśli wymienione zjawiska odpowiadają rzeczywistości, to każda rzeczywistość musi się z niemi liczyć i wobec tego kongres przyniósł pożytek. Ale na zewnątrz: dla polityków, dla badaczów, dla wrogów i przyjaciół. Odpowiedzi jasne są zawsze cenne, a sądzimy, że tutaj mało miejsca pozostało dla złudzeń. Wieleż to razy pisano i zapewniano o wzrastającym komunizmie na wsi. Teraz okazało się to nieprawdą oszczerczą dla dwu powodów: naprzód, jako przejaw instynktów posiadacza i nacjonalisty, a następnie, jako przejaw nienawiści do wszelkiej dyktatury.

Tak samo cenną wskazówką są wyraźne odpowiedzi chłopskie dla władz stronnictwa. Pozwolimy sobie twierdzić, że kierownicy dużo dowiedzieli się od masy, lecz masa nie dowiedziała się od kierowników niczego. Jak podnoszono na kongresie, dowolny zjazd powiatowy obradował nieraz nad temi samemi kwestjami niedoli i krzywdy. Od kongresu ogólnopolskiego w stolicy oczekiwano więcej. Na pytania namiętne i realne, co czynić, jak czynić i kiedy czynić, chłopi odpowiedzi nie otrzymali. I z tego punktu widzenia, od strony wsi, kongres nie należał do przedsięwzięć owocnych.

Nie po raz pierwszy ogół wymaga od sztabu generalnego inicjatywy i pragnie faktów dokonanych. Nie po raz ostatni sztab poszukuje realizacji życzeń ogółu i nie dostrzega środków niezawodnych a skutecznych. Niestety, niepodobna oceniać tych wypadków jako wewnętrznych w stronnictwie, lecz należy je rozważać w skali ogromu chłopskiego ruchu, a więc w skali państwowej. Wtedy odpowiedź na pytanie chłopskie — „co dalej?” — powinna przyjść z zewnątrz.

Powinna, lecz nie musi. Jeśli nie przyjdzie, bynajmniej to nie zaciemni sytuacji. Sprawa przesunie się na inną płaszczyznę rozstrzygnięć, które historja zna i konsekwencja przewiduje. Bo kto nie odpowiada, tego się już więcej nie pytają. Ale dalszy ciąg w każdym razie nastąpi.

Raptularz tygodniowy

(ZMIANA WARTY W NIEPODLEGŁOŚCI — SZCZEGÓLNE ZNAKI DYSKUSJI BUDŻETOWEJ — PRASA NA CENZUROWANEM — PROPOS: SAMORZĄD).

U nas kuracja odzwyczajająca od polityki udała się głównie w swojem kółku. Bo jeśli ktoś kółko opuści, natychmiast w przystępie troski partjotycznej poczyna myśleć dawnemi kategorjami. Wśród tych wyszłych z „kółka" więcej jest nawróconych Szawłów, niż gdziekolwiek indziej. Ale świeżo odzyskaną mądrość chowają ściśle przy sobie. Przecież nagrody nominacyjne trafiają tylko tych, którzy zdołali ustalić się w opinji, jako pogromcy „profanum vulgus".

Wytwarza to sytuacje paradoksalne, warte obśmiechu i gdyby nie ciężkie czasy i nie o wiele lżejsza cenzura, szaleliby panowie koledzy po piórze do końca karnawału. Jeden z b. premjerów, który ustąpił z województwa całkiem dobrowolnie po demonstracjach, które kosztowały dużo niepotrzebnie przelanej krwi robotniczej — ma zająć się historją ruchu niepodległościowego i redagować pismo, kierowane do niedawna przez liberała i demokraty dawnego stylu ś. p. Leona Wasilewskiego. Powstają ważkie kwestje: czy nowy redaktor napisze coś o różnicy pomiędzy demonstracją na placu Grzybowskim a demonstracją na plantach krakowskich? Czy opublikuje dwie instrukcje co do użycia broni: tę z r. 1905 i tę z r. 1936?

*

Minister poczt i telegrafów zawiadomił komisję budżetową jednym tchem, że 1-o resort jego daje wpłatę do skarbu państwa w wysokości 24 miljonów, 2-o, że o ewentualnej obniżce taryfy pomyśli Ministerstwo w kwietniu lub maju (?), 3-o, że o obniżce opłat telefonicznych niema co i mówić. (No i dodał w dyskusji, że w telefonach niema podsłuchu, ponieważ — telefonistki nie mają czasu podsłuchiwać, co oczywiście wszystkich bez wyjątku na posiedzeniu komisji i poza posiedzeniem definitywnie przekonało). Komisja, usłyszawszy te wyjaśnienia ministra, z zadowoleniem przyjęła je do wiadomości i zawotowała budżet tego resortu. Gdyby jednak nasz sejm choćby w najdalszej mierze przypominał normalny jakiś parlament, wówczas przy tym przecie ściśle fachowym i bynajmniej nie politycznym budżecie wstawałby jeden poseł za drugim i udowadniałby, z jakich to pozycji płynie ta rzekoma czy rzeczywista nadwyżka wpływów i co należy uczynić, by była jeszcze większa lub by ją inaczej w interesie resortu zużytkować. Obowiązkiem komisji było przedyskutowanie całej taryfy pocztowej i zbadanie, gdzie jesteśmy w tej niezwykle ważnej dla postępu cywilizacyjnego dziedzinie. Minister nie powiedział nawet części tego, co każdy parlament w tej dziedzinie winien był usłyszeć.

*

Dokonywujący się w naszych oczach, zwrot opinji społeczeństwa o ogólnych sprawach politycznych począł wpływać na prasę codzienną. Duży dziennik krakowski, znany ze swych przedwczesnych zapowiedzi i pyrrhusowych procesów, zbliżył się bardzo ściśle do gospodarczych resortów rządu. Naczelny redaktor tego pisma wziął (nie przesądzajmy stopnia dobrowolności tej decyzji) roczny urlop, podczas którego dziennikiem ma kierować warszawski redaktor przy pomocy jednego z krakowskich redaktorów. Będzie zachowana generalna linja: tylko za rządem z małym programem eksterminacyj w stosunku do żydów. „Kurjer Poranny" zadeklarował wczoraj, że popiera rząd „z dobrej nieprzymuszonej woli". Mamy więc dzienniki rządowe, dobrowolnie rządowe i przymusowo rządowe. Wtajemniczony teoretyk napisałby zapewne, że „tendencje na odcinku publicystycznym odpowiadają wiernie całokształtowi planowych osiągnięć w gospodarce państwowej" — wszyscy inni widzą w tem jeszcze jeden przejaw bałaganu.

*

Ze wszystkich stron kraju przychodzą żale i utyskiwania na funkcjonowanie samorządu w jego wiejskiej, miejskiej i „gospodarczej" postaci. Nie doliczylibyśmy się błędów, które popełnia się na żywem ciele przez nieodpowiednią ustawę i jeszcze nieodpowiedniejsze jej wykonanie. No, oczywiście, przodują ci, którzy niczego nie chcą się nauczyć, bo przecież wiedzą lepiej, niż miljony ich podwładnych. I tak mnożą się głosy z Wołynia o dziwacznych stosunkach, które tam zapanowały. Ostatnio przybywa nowy fakcik. Przy wyborach do zarządu wołyńskiej Izby rolniczej prezesem wybrany został pan Suchorzewski, burmistrz (!) miasta Włodzimierza. Będzie on następcą pana Krzyżanowskiego, ziemianina, osiadłego z dziada pradziada na Wołyniu. Ziemianin, zresztą, niezwykle łatwo „się dostosowujący", miał według wszelkiego prawdopodobieństwa, jako zawodowy rolnik, jakiś cień fachowości. Zastąpi go — burmistrz na stanowisku prezesa Izby rolniczej. Nie zdradzimy jednak żadnej tajemnicy, jeśli dodamy, że burmistrz ten stał na czele delegacji, która ostatnio protestowała u Biskupa łuckiego Szelążka przeciw kazaniu księdza Tokarzewskiego z Kowla. Ksiądz Tokarzewski na pogrzebie zamordowanego policjanta powiedział kilka energiczniejszych słów o przyczynach, dla których wszyscy tam w Kowlu stali nad trumną polskiego posterunkowego. Więc protest u X. Biskupa, przyjazd ministra rolnictwa i wybór na prezesa Izby rolniczej. Dobre uczynki nie tylko na tamtym świecie bywają wynagradzane.

Tot.

W.
Skargi Śledziennika

I.

Stary i dobry znajomy odwiedził mię w Święta. Była to dla mnie jedna z rzadkich i naprawdę przyjemnych niespodzianek. Gość mój bowiem, to wytrawny polityk, doświadczony człowiek, rzetelny przyjaciel, ludzki, wyrozumiały, odznaczający się dużą odwagą i charakterem nieskazitelnym. Słowem, unikat na dzisiejsze czasy, tak bardzo kupieckie i tak często zakłamane.

Obładowany listami, wycinkami z gazet i różnemi papierami, nie zapomniał o tradycyjnym opłatku. Łamaliśmy się serdecznie, bo to przecież długi okres tak przykrej rozłąki. Rozpływał się nad moim wyglądem, podziwiał nerwy i pogodę ducha. Starałem się mu odpłacić komplementy tak mocno przesadne, choć widziałem, że czas u niego zrobił duże spustoszenie.

Zaczął szerokie opowiadanie, chcąc mię należycie poinformować. Wprawdzie nie od Boga Ojca, ale od czasów wojny światowej. Tu go nie mogłem poznać. Widziałem go zawsze, jako człowieka pełnego wiary w przyszłość, spokojnego, zrównoważonego i pewnego siebie. Teraz zagryza go sceptycyzm, dusi niewiara, widmo niepewności staje mu bezustannie przed oczyma. Nie pojmuję, skąd się w nim wziął taki zgryźliwiec i śledziennik. Przecież to takie czasy niedawne!

„Spadła nam na głowę wojna światowa — zaczął. — Lawina krzywd, gwałtów, barbarzyństwa, okrutne żniwo śmierci i zniszczenie, a mimo to radość. Każdy z Polaków robił, co musiał, albo co mu dyktowały rozum i sumienie. Błądziło wielu, budując naszą przyszłość na państwach centralnych. Ja także dłuższy czas do błądzących należałem. Wszyscy wiemy, że gdyby te państwa zwyciężyły, nie byłoby Polski wolnej, lecz drobny twór, od Niemców zależny. Dzięki Opatrzności, a nie naszej mądrości, stało się inaczej.

Polska powstała i zaczęła się urządzać. Ożyły stare nałogi, ale zajaśniały także cnoty nowe. Sejm miał słabe strony, ale nie brakło mu także dodatnich. Stał się silnym i żywym łącznikiem mas ludowych z państwem, budził naród i zmuszał go do myślenia. Z ognia walki wychodzili ludzie, wyłaniały się talenty i charaktery. Utworzenie armji, przeprowadzenie szeregu wojen, uporządkowanie państwa, powstałego na gruzach, konstytucja, samorząd, odbudowa kraju, szkolnictwo i wiele innych dziedzin, zwycięstwo narodu w roku 1920, pozostaną na zawsze świetlanemi punktami tych czasów. Sejm należało zmienić, a nie lżyć i poniewierać. Ale stał on na przeszkodzie innej polityce.

Przygotowano przewrót i przeprowadzono go, karmiąc społeczeństwo przerażone najbardziej różowemi nadziejami. Potępiając wszystkich poprzedników, obiecali uroczyście wszechstronną poprawę. Ogarnęli rządy i prowadzili je bez przeszkód, mając najlepszą ze wszystkich konjunkturę. Następstwa znamy!

Marcową konstytucję potępiono w czambuł, nie szczędząc jej nietylko zarzutów, ale i obelg bardzo niewybrednych. Dojrzano w niej przyczynę rzekomych nieszczęść państwa i narodu. Zabrano się do zmiany z zapalczywością, ale zapewne i z przekonaniem, uważając się nie tylko za uprawnionych, lecz i za proroków, mających uszczęśliwić zawiedziony naród. Dla twórców nowego porządku wszystko stanęło otworem. Mieli czasu dostatek, uległość społeczeństwa, oportunizm posłów, wzory, doświadczenie, poparcie czynników decydujących, repertuar sztuk, przez mistrzów dobrany. Mieliśmy wszelkie prawo sądzić, że z tego warsztatu wyjdzie dzieło, które będzie chwalić mistrzów, przyniesie narodowi tak uroczyście de-

MARJAN ZDZIECHOWSKI

Terorystyczny antyteizm

II.

Była w bolszewiźmie rzecz, która niestety nie wszystkich, ale mnie osobiście przejmowała nieskończonem obrzydzeniem i przerażeniem — okrucieństwo. Wszystko człowiekowi wybaczę, wszelkie ułomności i błędy, ale nie jestem w stanie wybaczyć okrucieństwa.

Dyrektor jednego z gimnazjów rosyjskich w Czechach zadał uczniom, jako temat do wypracowania: „wspomnienia z roku 1917". Wynik był tak niespodziewany, że powtórzono temat ten w innych szkołach i w ten sposób zebrano około tysiąca dziecięcych dokumentów, których część ogłoszono drukiem. „W porównaniu z temi wynurzeniami, pisanemi niedołężnym dziecinnym stylem, błędną, pisał Arcybaszew, wszystkie książki, jakie dotychczas wyszły, o czerwonym terrorze". Ja się bardzo przestraszyłem — opowiada jeden z owych chłopaków — gdy przyszli bolszewicy i poczęli grabić, a potem chwycili mego dziadka, przywiązali do stołu, poczęli męczyć, wyrywali paznogcie, wykręcali ręce i nogi, a potem wyrywali brwi, kłuli w oczy i ja okropnie żałowałem dziadka i nie mogłem patrzeć"... — „Czytelniku, — zapytywał Arcybaszew, przytoczywszy ustęp ten — jeśli jesteś człowiekiem żywym, nie zaś chodzącą książką, to wyobraź sobie, że chłopak ten wyrósł i wrócił do Rosji i że przypadkiem spotkał tam i poznał jednego z owych bolszewików, co zamęczyli jego dziadka. Co zrobi on wówczas? przebaczy mu, czy zabije na miejscu? Jeśliby miał przebaczyć, to niech lepiej nie wraca nigdy do ojczyzny — **on** nie jest godzien ojczyzny i nie jest godzien imienia człowieka".

„Choć wiem — pisał dalej Arcybaszew, — że wszystko na świecie ma granice, tylko podłość granic nie ma, jednak dziwię się, gdy słyszę, że są tacy, co nawołują do zgody z bolszewikami — i jeżeli Rosja nie może być zbawiona inaczej, jak przez zgodę z bolszewikami — to nie zasługuje ona na zbawienie: niech ginie ten duchowo zgniły naród i niech śladu po nim nie będzie"...

A Europa? „Europa — słowa tegoż Arcybaszewa — wie równie dobrze, jak ja to wiem, czem jest bolszewizm"... „niema tego głupca na świecie, któryby nie rozumiał, że rząd sowiecki niczem innem nie jest, jak bandą łotrów i morderców"... „Więc co mówić mamy o tych premjerach i prezydentach, o monarchach, którzy w białych rękawiczkach ściskają zakrwawione łapy owych łajdaków"... Co mówić mamy — dodam od siebie— o b. królu Edwardzie VIII; ten pan z panów, największy nie w Europie tylko, lecz na całym świecie, znalazł czas, w dniu pogrzebu swego ojca, niemal u jego trumny, na godzinną rozmowę przyjacielską z oficjalnym przedstawicielem owej bandy.

Czy w Polsce jest lepiej?

Wydałem w 1934 r. szereg szkiców o bolszewiźmie p. t. „Od Petersburga do Leningradu". Przepowiedział mi jeden z przyjaciół moich znacznie ode mnie młodszy i dzięki temu dobrze w dzisiejszych prądach zorjentowany, że książkę tę cała prasa pogrzebie milczeniem i że nie znajdzie ani jednego czytelnika. Trochę się mylił, bo w roku pierwszym rozeszło się ze 300 egz. i było kilka wzmianek w prasie; reszta egzemplarzy spoczywa, za wyjątkiem Wilna, w piwnicach księgarskich — i jeśli przypadkiem ktoś, posłyszawszy o zapomnianej książce, zapragnie ją nabyć, sporo czasu straci, zanim w owych piwnicach egzemplarz jakiś odszukają. W Sowietach nie byłem; w szkicach moich więcej jest rozważań niż faktów, ale Wilnianin, Białorusin, Franciszek Olechnowicz, spędził lat siedem „w szponach G. P. U.", przeżycia swoje opisał żywo, barwnie [1]) i co najważniejsze, spokojnie, prawdziwie: poczuje to każdy czytelnik. Nie słyszałem jednak, aby niewielka rozmiarami a tania książeczka zdobyła należne powodzenie. Czy ta żądza niewiedzy, czy to uporczywe zatykanie uszu na każdy jęk, dochodzący stamtąd, nie jest złośliwą psychozą, czy nie świadczy, że czerwona dżuma zrobiła już swoje i że gangrena zjada już duszę narodu? Dlaczego rozmaite Drobnery i inni komunistyczni podszczuwacze tumanią mózgi głupców

[1]) W książce pod tymże tytułem „Siedem lat w szponach G. P. U." (Wilno, 1935).

-klarowane odrodzenie i swoją doskonałością stary, „gnijący świat" zadziwi. Przecież w takich sprawach nie można zawodzić!

Nareszcie słowo stało się ciałem. Nowa konstytucja nietylko powstała, lecz przeszła zwycięską próbę, niestety — tylko obchodów i uroczystości. Nawet salwy armatnie nie naruszyły jej podstaw. Zaczęła jaśnieć i panować. Nie tyle na chwałę zapomnianego narodu, ile na korzyść jej twórców. Radowali oni się naprawdę i nie bez powodu. Czasy upojenia miało przeciąć życie.

Przyszły wybory. Ja osobiście uważam je nietylko za kompromitację reżimu, ale za poważną klęskę narodową. Dwa są powody. Jednym to bojkot aktu państwowego przez ogromną większość Polaków, drugim to wybór Sejmu, który na te czasy stał się czemś przerażającem. Jest on okazem straszliwego ubóstwa sanacji, bo przecież wybierali sami i wybrali, co mieli najlepszego. Ten Sejm elity i przywilejów musi niestety daleko stanąć w tyle za każdym z poprzednich.

Ci wybrani w narodzie nie widzą nadciągających chmur, nie słyszą trzasku piorunów, nie dostrzegają pierścienia, który każdej chwili może się na naszej szyi zacisnąć. Brak wszelkiej skoordynowanej linji, lekceważenie rzeczywistości, nastrajanie się do humoru ministrów i urzędników, odgadywanie ich myśli, widoczna uniżoność, ręce przygotowane do oklasków, usta do uśmiechu, znamionują tych, co sobą i swojemi czynami mieli świat zadziwić. Te pogadanki i koleżeńskie „sztamy", jakże one marnie wyglądają wobec innych parlamentów!

Wiem, że w tej pokornej licznej gromadzie są parwenjusze, są nakręcone figury, kupcy szukający zysku, karjerowicze za wszelką cenę, lokaje z dziada pradziada, nauczeni słuchać i stać za drzwiami, podwładni, nie umiejący zrobić kroku bez komendy, ale przecież nie brak tam równych wojewodzie, a nawet wojewodów samych! Czemże się oni odróżniają od tamtych? Czyżby swojem postępowaniem chcieli jeszcze raz potwierdzić, że dygnitarz rosyjski miał rację, gdy twierdził: że polskich magnatów można spokojnie bić po gębie, gdy im się worek ze złotem pokaże? Sądzić należy, że licytując się w pokorze z dawnymi swoimi niewolnikami, wcale tej pokusy obecnie nie mają!

Mnie starego, co patrzyłem na innych ludzi i na inne czasy, martwią nie tylko straty, jakie polskość ponosi niemal na wszystkich polach, ale zupełny brak punktów stałych i wielkiego planu oblliczonego na lata, obejmującego wszelkie dziedziny i całe społeczeństwo. Kto to ma zrobić? Sejm właściwie nie istnieje! Daje pełnomocnictwa i bierze djety. Rząd, zapatrzony w budżet, w aktywny bilans handlowy i obronę swojego stanowiska, zdaje się nie dostrzegać zjawisk tak bardzo niebezpiecznych, choć często na pozór małych i nie zawsze w oczy wpadających.

Rychło u nas zapomniano, że jedną z głównych przyczyn upadku Polski to było usunięcie większości obywateli od wpływu na państwo i podzielenie narodu na uprzywilejowanych i na niewolników. Dziś niebezpieczeństwo wcale mniejsze nie jest. Nietylko więc należy chłopa przy państwie utrzymać, wszelkie prawa dać, ale mu codzień znaczenie Ojczyzny wolnej i jego roli przypominać. Rzeczywistym obrońcą wolności może być tylko wolny człowiek, Ojczyznę kocha szczerze tylko wolny obywatel.

Słyszałem wiele o zabiegach, mających na celu przeciągnięcie chłopów do jakiś formacji prorządowej za cenę materjalnej poprawy. Jestem szczęśliwy, że się to nie udało. Za największą klęskę dla Polski uważałbym, jeśli ktośby mógł chłopów zdemoralizować, złamać, albo kupić. Jest to dziś niemal jedyny ośrodek, na który każdy Polak patrzy z prawdziwą ufnością".

obrazami niezliczonych rozkoszy sowieckiego raju, udają, że nie słyszeli o tych, co do owego „raju" uciekłszy, cudem wrócili i opowiadają, co widzieli tam, co przecierpieli?

Michał Arcybaszew był więcej niż znakomitym powieściopisarzem. W ostatnich latach życia swego, spędzonych w Warszawie, był dla narodu swego prorokiem. Jak prorocy Izraela na wygnaniu, **super flumina Babylonis,** jak prorok Jeremiasz, którego postanowił Pan „abyś wykorzenił i psował, i wytrącał, i obalał, abyś budował i szczepił", budził on sumienia, krzepił serca, wzywał do nieubłaganej, a świętej walki, przekleństwem piętnował leniwych i małodusznych. Potęgą słowa nie dorównał mu nikt.

W ciągu lat pięciu, które przebył pod panowaniem Sowietów, doszedł do przeświadczenia — „że w istocie swojej bolszewizm jest ohydną konspiracją przeciw narodowi rosyjskiemu w celu zabicia w nim jego duszy, jego człowieczeństwa" — i walce z konspiracją tą postanowił odtąd wszystkie siły, cały swój talent poświęcić.

O charakterze jego talentu wymownie świadczy artykuł, napisany pod wrażeniem procesu Conradiego w Genewie. Młody Conradi, syn właściciela znanej w Petersburgu fabryki czekolady, zastrzelił posła sowieckiego w Szwajcarji, Worowskiego. Było to aktem zemsty, odpowiedzią na zamordowanie rodziców jego przez bolszewików. Miał się nad nim odbyć sąd w Genewie. „Belletrystą jestem z zawodu — pisał Arcybaszew — mam prawo fantazjować, ile tylko zechcę, i oto, co widzę". Przesuwa się przed nim wstrząsający grozą obraz, który tu podaję w krótkim zarysie. Malownicza mieścina wśród błękitnych jezior szczęśliwej Szwajcarji, gmach sądu, w nim jasna, biała czysta sala. Już ją zapełniła publiczność i reporterzy ze wszystkich stron świata. Wchodzą przysięgli; wszystko ludzie stateczni, z pośród kupców, zegarmistrzów, rzemieślników — w czarnych surdutach i wykrochmalonych koszulach, twarze poważne, powagą chwili przejęte.

Po nich weszli i zasiedli sędziowie; powstaje prezes Sądu i głosem donośnym każe wprowadzić podsądnego. Niczem podsądny ten nie wyróżnia się od nas wszystkich; ani on ani żaden z tych, co go znali, nie przypuścił nigdy, aby mógł on kiedykolwiek zasiąść na ławie oskarżonych, jako zbrodniarz, zabójca. — „Proszę poprosić świadków" — słyszymy znowu głos prezesa. Otworzono drzwi, ale nikt nie wchodzi. Wciska się tylko do sali jakiś zimny mrożący prąd zgniłego powietrza: prąd ten przeistacza się w mgłę coraz gęstszą; wszyscy się duszą — publiczność, przysięgli, sędziowie; nieznośny obrzydliwy smród rozkładających się trupów. Tylko prezes panuje jeszcze nad sobą i poraz drugi powtarza: „proszę wprowadzić świadków". I oto wreszcie wchodzą, — cisną się jeden za drugim tysiące, setki tysięcy, miliony. Rośli mężczyźni z zakrwawionemi głowami i śladami straszliwych katuszy na ciele; widma wynędzniałych kobiet z piętnem nieskończonego bólu i wstydu na twarzach; wychudzone szkieleciki dziecięce z rozdętemi żołądkami, a oto jakieś nawpół zjedzone ciała człowiecze pełzną za niemi, krwią i ropą znacząc posadzkę. A ci oboje storturowani staruszkowie, co się z tłumu wysunęli i na rany swoje wskazują? Czy to nie rodzice podsądnego? On zadrżał na ich widok... Ach, tak strasznie, tak dziko brzmią wołania ich wszystkich, jak jęki wichrów jesiennych, wyjących po bezbrzeżnych równinach Rosji: „sprawiedliwości, sprawiedliwości"... Paniczne przerażenie nagle ogarnęło wszystkich, uciekają z sali reporterzy wszystkich gazet świata, i przysięgli, i sędziowie, ucieka w końcu sam prezes; sąd nie doszedł do skutku".

Nie odbył się w wizji pisarza, ale odbył się w rzeczywistości; Conradiego uniewinniono. Uniewinnienie to — słusznie pisał Arcybaszew — było policzkiem wymierzonym nietylko bolszewizmowi, ale tej cywilizowanej chrześcijańskiej Europie, szukającej ideologicznego usprawiedliwienia dla bolszewickich zbrodni i wchodzącej w przyjacielskie rozmowy i układy z twórcami komunistycznego raju, „w którym ludożerstwo stało się zjawiskiem pospolitem, ludzi karmiono zdechliną i ekskrementami, po piwnicach zaś czerezwyczajek oprawcy i „sędziowie", z trudnością chodzić mogli, bo „podeszwy przyklejały się do lepkiego błota na podłogach, tworzącego się z mieszaniny krwi i rozdeptanych mózgów ludzkich".

„Wielkie prawo moralne — zamykał Arcybaszew rozmyślania swoje nad procesem Conradiego — nad którem tak długo, i uparcie we krwi i we łzach pracowała ludzkość, poszło w niepamięć. Śmieją się z niego, bo to burżuazyjny przesąd, sentymentalny romantyzm"... „Ach gdyby to głos mój mógł zabrzmieć jak dzwon na wieży śpiżowy, gdybym krzykiem moim budzić mógł martwe i martwiejące dusze".

Słowem, przeciw bolszewizmowi powstają uczucie patrjotyczne i uczucie ludzkości, zmysł moralny. Walka z bolszewizmem jest przeto powinnością człowieka uczciwego, — i to walka na życie i śmierć.

Dwie rozmowy

Jeden ze starszych adwokatów przytacza nam dwie a u t e n t y c z n e rozmowy, jakie miał w swoim czasie z przedstawicielami ówczesnych władz rosyjskich.

„Było to w r. 1905 czy 1906, w okresie t. zw. pierwszej rewolucji rosyjskiej. Gazety przyniosły wiadomość, że w jednem z większych miast na południu Rosji, zdaje się w Odesie, niewykryci sprawcy rzucili z okna bombę na przejeżdżającego dygnitarza i że miejscowy „tymczasowy wojenny generał gubernator" rozkazał zburzyć dom, z którego bombę rzucono. W kancelarji jednego z sądów toczyła się rozmowa na ten temat i wszyscy się oburzali na barbarzyńskie metody karania niewinnych za cudze przestępstwo, w którem nie brali udziału. Natomiast sędzia S., Rosjanin, znany zwolennik t. zw. czarnej sotni, twierdził, że tak właśnie należy postępować.

Wtrąciłem się do rozmowy.

— Jeżeli już mamy karać niewinnych wobec niemożności wykrycia winnego, to dlaczego burzyć tylko jeden dom. O wiele byłoby skuteczniej zburzyć całą ulicę.

— Zburzyć i całą ulicę, zawołał sędzia.

— A może całe miasto?

— I całe miasto, jeżeli to będzie potrzebne.

— A może całe państwo, w którem takie rzeczy się dzieją?

Sędzia się stropił i po chwili odpowiedział:

— Pan idzie zadaleko.

— Nie, jestem tylko ściśle konsekwentny.

* * *

Druga rozmowa odbyła się w parę lat później w gabinecie jednego z gubernatorów rosyjskich w Polsce.

Zgłosiłem się osobiście do gubernatora, ażeby wyjednać cofnięcie zarządzenia niższych władz administracyjnych, które zamknęły jakieś, nie pamiętam już jakie, przedsiębiorstwo mojego klijenta, prowadzone bez uzyskania koncesji. Opierałem się na tem, że niema ustawy, któraby nakazywała uzyskiwanie koncesji na prowadzenie tego rodzaju przedsiębiorstwa. Gubernatora nie zastałem, przyjął mnie wicegubernator, zruszczony Niemiec.

— Niech mi pan wskaże — powiedział — ustawę, która upoważnia do prowadzenia takich przedsiębiorstw bez koncesji.

— To nie jest potrzebne — odrzekłem — wystarcza, jeżeli niema ustawy, któraby nakazywała uzyskiwanie koncesji. Co nie jest wyraźnie zabronione, to już przez to samo jest dozwolone.

— Nie, panie, obywatel nie ma prawa nic robić, na co mu albo ustawa, albo władza wyraźnie nie pozwala.

— Ależ, panie gubernatorze, wszak każdy z nas codzień oddycha, mówi, je, pije, śpi i spełnia cały szereg innych funkcyj, nie wyjednywając na to zezwolenia władzy.

Dygnitarz zastanowił się chwilę.

— Zapewne, — powiedział po chwili namysłu — władza z natury rzeczy musi na to patrzeć przez palce, ale, ściśle biorąc, to jest nie w porządku".

m.

Od administracji

Na liczne reklamacje naszych czytelników wyjaśniamy, że w wyniku zajęcia niektórych artykułów przez cenzurę, numeracja zeszytów „Odnowy" uległa zagmatwaniu. W r. 1937 ukazały się:

z datą 3 stycznia Nr. 1 wzgl. 2/1
„ „ 10 „ „ 3 „ 4/3
„ „ 17 „ „ 5, którego nakład nie został powtórzony, wobec czego nie posiadamy go w zapasie.

S. DANYSZ

O władzach skrytych i skojarzeniach fatalnych

(List z Francji).

We Francji, trzydziestego lipca 1914: tak przemawia do przyjaciela, określając międzynarodową sytuację, dyplomata z Quai d'Orsay... w świeżo wydanej ostatniej części dzieła R. Martin Du Gard (Les Thibault. Eté la 14. N. R. E.). Stanowi ono we Francji obecnie t. zw. **évènement littéraire** — a może zresztą nietylko literackie:

„Jakieś djabelskie skojarzenie... Staczamy się w przepaść, jak pociąg o źle uregulowanych hamulcach, który w dół pędzi własnym ciężarem porwany, z szybkością, powiększającą się z chwili na chwilę... Tak się dzieje, jak gdyby nam się wszystko z rąk wymknęło, i szło, samo szło... nie kierowane, przez nikogo nie żądane... Przez nikogo..., ani przez ministrów, ani przez królów..., przez nikogo, którego nazwisko wymienićby można. Mamy wszyscy wrażenie, że jesteśmy wyprzedzeni, wywłaszczeni, bezbronni... oszukani... nie wiedząc ani jak, ani przez kogo... Każdy czyni to, o czem mówił, że tego nie zrobi... Tak jak gdyby odpowiedzialne osoby stały się zabawkami — nie wiem — zabawkami sił, władz skrytych, któreby prowadziły partję z bardzo wysoka, z bardzo daleka...".

Przychodzą mimowoli inne czasy na myśl. Bardzo do naszych podobne. Z tą chyba różnicą, że się bardzo dzisiaj spoufaliło widmo wojny. A fatalnym skojarzeniom, które do niej prowadzą, bezwiednie niejeden pomaga, podczas gdy drudzy już nie tylko im służą, ale je stwarzają.

Przed oczami zdumionego, bezsilnego widza, przesuwają się coraz szybciej, jak w filmie, obrazki tej powszedniej fatalności. Tak znanej, tak dobrze dziś znanej, że żadne, zdawałoby się, jeszcze nie opętane, czyli wolne siły świata, nie są już w stanie przeszkodzić, aby się tak film skończył... jak niegdyś, przed osiemnastu laty.

Z osłupieniem patrzy widz, a jednak wierzy, że „jakoś to będzie" — poddaje się losowi. Jak się ten los przedstawia? W dość ciemnych barwach o tem pisze Piotr Dominique, dobrze znany publicysta, patrjota radykalnego odcienia. Nie należy on do handlarzy czczych nadziei. Surową przestrogę rodakom swym daje: „w dwóch słowach określić można dramat nowoczesny: aby stworzyć imperjum niemieckie, rzuci się Rzesza niemiecka w wojnę. To imperjum znajdzie na wschodzie Europy; aby je jednak osiągnąć, będzie zmuszona wprzódy złamać żołnierza z Zachodu. Jeżeli go spotka, sam na sam, i w warunkach zamętu fizycznego i moralnego, w jakich się on znajduje dziś w październiku 36-go roku, złamie go.

Dlatego więc, Francuzi, wy, którzy nie potraficie się połączyć, wy, których przykład Polski z końca 18-go wieku nie oświecił, dlatego więc, pewnego poranka, w gruzach zburzonej stolicy, przy strasznych krzykach waszych żon, waszych dzieci, w łunach pożaru, a może przy ogólnej bratobójczej walce, obudzicie się Niemcami"!

Do tego wniosku dochodzi P. Dominique po szczegółowej analizie planu marszałka v. Blomberga, zwolennika bezpośredniego natarcia na Wschód, przy jednoczesnem zneutralizowaniu Francji na tyłach dywizjami obsadzonemi w Nadrenji, — oraz planu generała v. Fritsch'a, dla którego warunkiem pochodu na Wschód jest uprzednie zniszczenie Francji.

Co się tyczy Polski, autor przypuszcza, że plan Blomberga „nie pociąga obowiązkowo przymierza Rzeszy z Polską". Generał v. Fritsch zaś żywi podobno przekonanie, że „choć teoretycznie związana z Francją, nigdy Polska nie zaatakuje Niemców; bo równałoby się to przywołaniu armji sowieckiej na pomoc, czyli narażeniu się na sowietyzację".

Pobudki P. Dominique'a są niewątpliwie szlachetne. Każdego patrjotę francuskiego bolą wewnętrzne rozterki. Przestraszyć Francuza, z natury obojętnego na zewnętrzne sprawy, jest niełatwo. Używa więc P. Dominique silnych uderzeń. Stąd oczywiście nieco przesadzone i poniekąd bardzo uproszczone wnioski. — Jednak bardzo charakterystyczne, i dlatego je przytaczam. Gdy się je porówna z innemi, o których będzie dalej mowa, to świadczą one, że się coś zmieniło we Francji: mianowicie zbliża się chwila, w której w całej Francji **każdy zda sobie dokładnie sprawę z katastrofy, która światu, nietylko Francji grozi — ale Francji też.** Są to raczej dodatnie objawy.

Podobnie pisze akademik Duhamel:

„Świat cały wie o tem, że Francja jest narażona na śmierć. **Jedynie Francuzi tego nie rozumieją...** Armja niemiecka jest tworzona z myślą o kampanji we Francji; armja niemiecka mierzy cała we Francję. Śni się pewnym Francuzom o możliwem odroczeniu wojny, lecz ulegają oni czczym złudzeniom, gdy wciąż powtarzają, że wysiłek zbrojeniowy Niemiec zwrócony jest przeciw Rosji. Jest to chimera... Wojna w obecnych warunkach nie może być zwycięstwem proletarjatu. Jeżeli Francuzi mają trwać w wewnętrznych rozterkach, skutkiem wojny będzie definitywne zwycięstwo faszyzmu hitlerowskiego".

Czy trafiły jednak do szerszej publiczności, do średniego Francuza, te odezwy? Otóż tu się zaczyna dramat o znaczeniu europejskiem. Zwracają się ci kaznodzieje dobrej woli do swych ziomków, nie wierzą w możliwość międzynarodowego rozstrzygnięcia konfliktu. Dobrze znane widmo na nowo wskrzeszają, używają najbardziej chyba przekonywającego argumentu, tego, który powinien trafić do podświadomej wrażliwości Francuza, i mówią: pogódźcie się, albo zginiecie!

Pogodzić się? Dobrze, ale na jakim terenie? — odpowiada większość obywateli francuskich. — Nie podzielamy waszego pojęcia fatalności. Współzawodnictwo francusko - niemieckie jest sztucznym tworem finansowo - przemysłowych oligarchij, tej międzynarodówki finansowej. „One to pod różnemi nazwami ludami rządzą i wciąż nadal prowadzą swe czynności ekonomiczne, swe podboje imperjalistyczne". One to przekształciły międzynarodową instytucję Ligi Narodów na narzędzie swych skrytych żądz imperjalistycznych. One to zbałkanizowały Europę centralną i wschodnią, ograniczając czynność młodych państw do roli figurantów. One to władzę nad światem oddały w ręce mocarstw imperjalistycznych. Tak mówi m. in. znany ekonomista Francis Delaisi, jedna z najpoważniejszych figur Powszechnej Konfederacji Pracy (Confédération Générale du Travail).

A jaki jest stosunek rządzącego związku pracy do spraw zewnętrznych, a m. in. do sprawy Francja - Niemcy? Rozstrzygnąć ją chcą, ale **na terenie wyłącznie europejskim, czyli przy „racjonalnej ekonomicznej organizacji Europy".** — „Znamy — pisze La Flèche (organ, natchniony pośrednio personalizmem Mounier'a, a wyspecjalizowany w walce z trustami, jedyny z francuskiej prasy, który objektywnie przedstawił sprawę żyrardowa) — znamy pewną ilość warjatów, którym się marzy, że nędza, która się z każdym dniem pogłębia w Rzeszy niemieckiej, może wywrócić hitlerszczyznę. Uważamy, że żywić taką nadzieję, to nietylko bezdenna głupota, ale i karygodne przestępstwo".

Krótko mówiąc, rządu opozycja nie obali tak łatwo, jak się niejednemu wydaje, a to nietylko z powodu groźby ogólnego strajku, ale i wewnętrznych i zewnętrznych komplikacyj (groźba niemiecka), które byłyby tego natychmiastową konsekwencją. Jedyny chyba niebezpieczny teren przedstawia natomiast stan finansów.

*

Tak więc, wbrew wszelkim konkretnym danym, wzbudzać czcze oraz tchórzliwe nadzieje, taić rozmyślnie, iż katastrofa jest możliwa, że grozi ona i **Francji,** byłoby w obecnych tragicznych warunkach karygodnem kłamstwem. Że plany v. Blomberga i v. Frietscha, nie są wymysłem „ad hoc" P. Dominique'a, że odezwa G. Duhamel'a opiera się na znajomości międzynarodowych stosunków, że polityka F. L. narażona jest na wewnętrzne i zewnętrzne niebezpieczeństwo — to jest wszystko prawda. Ale prawda jest też, że gdyby nawet przyszło do chwilowego osłabienia Francji, a nawet, przypuśćmy, do obezwładnienia Francji, do wojny... albo zgodziłaby się Europa na bezwzględną hegemonję hitleryzmu, (lecz nie zgodziłaby się na to Rosja, ani Włochy, ani Anglja...), albo, a jest to o wiele pewniejsze, wojna francusko - niemiecka byłaby tylko początkiem wybuchającego na lata, na świat

cały, pożaru. Wyprzedziłby może tylko Sedan Sadowę. A z gruzów wojny 1914 roku powstałe nowe państwa nie byłyby, choć najneutralniejsze, bynajmniej oszczędzone; w każdym razie były skazane na utratę godności narodowej. I to niezależnie od tego, czy bomby niemieckie, według metody v. Blomberga, czy też według metody v. Fritscha, miałyby wybuchnąć w tym czy innym kierunku.

Jeżeli zaś powodem głównym — i tu można przyznać rację panu F. Delaisi, — szalejącego kryzysu suwerenności, jest ślepe międzymocarstwowe współzawodnictwo, i może mniej luźne poczynania finansowości międzynarodówki, należy tu też stwierdzić, że tym fatalnym skojarzeniom pomaga też fakt, że nigdy dotychczas nie umiały wyzyskać ni zrozumieć nowopowstałe państwa tej zasadniczej racji ich istnienia, **że one stanowią właściwą rację stanu i bytu nowej Europy.** Jedne po drugich wchodzą one posłusznie w przymierze wilka z owcą. Z cichą, grzeczną wprawdzie, ale bezdenną pogardą, rzucają niemi, jak piłkami to Włochy, to Niemcy, to Anglja, to nawet Unja Sowiecka, aż nareszcie marzy im się o neutralności! Nie zdały egzaminu dojrzałości. Niema dzisiaj neutralnych państw. Skończone te czasy! Gorączkowo zbroją się i fortyfikują szwajcarzy. Umawia się Anglja z Belgją o ewentualne bazy samolotów. A dlatego niema nieutralności, że w grę dziś wchodzi wszystko, co należało przecież niegdyś do suwerenności narodów i państw: instytucje, ekonomja, nawet praca i moralność... Zaraźliwa jest dżuma czerwona, tak, i dlatego wolno Hiszpanom dać się zarazić — rozkaz Mussoliniego i Hitlera. Niby dowód solidarności ludzkiej: niech się mordują, ale po europejsku.

A pomaga się tym tylko, którzy są w stanie sobie wpierw pomódz. Różniące się, rozproszone, zamiast stanowić opokę, nowopowstałe państwa tylko to osiągną, co im się zechce dać, — parę groszy na kolej, — lub zostawić to, czego się nie odbiera.

A może... w przededniu grożącej całej ludzkości katastrofy, czy nie stać ich, tych z góry poświęconych molochowi wojny, nowopowstałych państw, tych młodych obywateli przyszłej Europy, aby się zebrać, założyć choćby prowizoryczny „Comité de Salut public"? Zwołana, — dlaczegoby nie w Warszawie? — konferencja n. p. państw (Mała Ententa, Blok Bałtycki, Polska, Węgry) proklamuje, że spory, które je dzielą między sobą, pokojowo same załatwią, że w razie wojny, razem, w zespole wszystkich sił, napastnikowi jeden front przeciwstawią. Wątpliwem jest, aby taka inicjatywa nie cieszyła się poważnem poparciem Francji i Anglji — nie tylko moralnem.

Wskrzesić uczciwą tym razem Ligę pokojowych narodów.

Zaczątek nowej Europy, okoliczności są sprzyjające...

Ale może łatwiej mieć nadzieję, że jakoś to będzie, i czekać bezsilnie, czekać, jedni z rozpaczą, drudzy z pokorą, na koniec filmu...

Kronika zagraniczna

DZIWNA POLITYKA.

Jesteśmy gorącymi i szczerymi zwolennikami porozumienia i współpracy polsko - czechosłowackiej. Sądzimy, że przemawiają za nią argumenty najsilniejsze, bo wypisane na mapie. Krytykujemy oficjalną politykę zagraniczną polską, która widocznie w prawdach, wypisanych na mapie, przestała się orjentować i poświęca je z lekkiem sercem pour le roi de Prusse. Ale co mamy sądzić o polityce czechosłowackiej, jeśli dziś, właśnie dziś, wydaje się drukiem książkę aktualnego posła i ministra pełnomocnego Czechosłowacji, zaopatrzoną wstępem pióra aktualnego ministra spraw zagranicznych tegoż państwa, a zawierającą program polityczny, który w uszach każdego Polaka brzmi dziwnie odpychająco? Mówimy o książce p. Seby. Mimo wszystkich pozorów nie chcielibyśmy uznać jej za oficjalny program polityki czechosłowackiej, zwłaszcza, że nie pokrywa się z oficjalnemi oświadczeniami p. ministra Krofty w parlamencie praskim. Ale w takim razie powinny nastąpić jakieś wyjaśnienia.

LIGA NARODÓW I GDAŃSK.

Najbliższa sesja Rady Ligi Narodów zajmie się znów sprawami Gdańska. Na zasadzie sprawozdania delegata Polski, której powierzono tę sprawę, zdecyduje ona o najważniejszej rzeczy, o utrzymaniu w mocy lub też przekreśleniu statutu Wolnego Miasta. Rząd polski zachowuje tymczasem chwalebną — i wygodną dyskrecję na temat rezultatu rokowań z Gdańskiem, o których tylko tyle wiemy, że wynik ich był „pozytywny". Czy to znaczy, że Gdańsk cofnął się, czy też, że cofnęła się Polska — zobaczymy. Miarą tu będzie jednak nie tyle sprawa przyjęcia nowego Wysokiego Komisarza Ligi, ile jego faktyczne stanowisko i uprawnienia, a przedewszystkiem sprawa poszanowania statutu na wewnątrz, w stosunku do opozycji gdańskiej i mniejszości polskiej. Według tej miary społeczeństwo polskie oceni rezultat rokowań gdańskich i ustali zasługi — lub odpowiedzialności. Nie mamy wątpliwości, że Rada Ligi Narodów wśród zwyczajnych reweransów i podziękowań zaakceptuje wszystko, co przedłoży jej delegat polski, zadowolona, że jeden kłopot spadnie jej z głowy. Trudno zresztą wymagać, aby była päpstlicher denn der Papst selbst. Ale właśnie dlatego nie będzie można zasłaniać się jej decyzjami. Bo decyzje te nie zapadły naprawdę w Genewie, ale między Warszawą, Gdańskiem i — Berlinem.

PO AWANTURZE MAROKAŃSKIEJ.

Ujawnienie zakusów niemieckich na hiszpańskie Maroko spowodowało takie naprężenie stosunków europejskich, jakiego dawno nie było. Przez parę dni byliśmy o krok od wojny. A potem — Niemcy cofnęły się. Zdecydowana postawa Francji, poparta jednolitą tym razem opinją publiczną oraz ujawniona zupełna zgodność stanowiska jej i Anglji wystarczyły, aby zmusić Niemcy do wyparcia się zaborczych planów. Uczyniły to w formie pokojowego gestu kanclerza Hitlera, za który sławią teraz swego Führera — w braku bardziej namacalnych sukcesów. Bardzo to ważny wypadek. Może on zaznaczyć przekreślenie tej polityki bluffu i szantażu, którą z ogromnem powodzeniem stosują od dawna Niemcy i Włochy. Ad oculos zademonstrowano to, o czem zdawna przekonani byli wszyscy prawdziwi przyjaciele demokracyj zachodnich. Wystarczy energiczna postawa Francji i Anglji i zupełna zgodność ich postępowania, aby groźby wojenne zmieniły się w bardzo pokojowe oświadczenia. Idzie o to, aby doświadczenie marokańskie zostało dobrze zrozumiane, zwłaszcza w Anglji, i aby wyciągnięteo z niego właściwe wnioski.

GOERING W RZYMIE.

„Odpoczynkowa" podróż premjera Goeringa do Rzymu zamieniła się w najbardziej intensywne, a zupełną tajemnicą okryte rokowania polityczne pomiędzy nim a Mussolinim. Mimo gęstej mgły tajemniczości, która je otacza, nie trudno się domyślić, że idzie w nich o uzgodnienie programu politycznego obu państw totalnych i pozyskanie dla niego Anglji. Wobec niepowodzenia, jakie w czasie kryzysu marokańskiego spotkało politykę szantażu, trzeba znaleźć nowe sposoby i nowe metody. Będą one obliczone na pozyskania Anglji, która niezmiennie dąży do porozumienia na kontynencie i gotowa jest ponieść dla niego nawet znaczne ofiary. Zwłaszcza z cudzej kieszeni. Będą to więc zapewne nowe oferty „pokojowe", które uważamy za bardziej niebezpieczne, niż groźby wojenne. Nie sądzimy, aby można było jeszcze wymyślić wiele nowego — zapewne summa summarum wróci wszystko do starych koncepcyj paktu czterech i oddzielenia bezpieczeństwa na zachodzie od — wolnej ręki na wschodzie. W imię „idei europejskiej" i „jedynego niebezpieczeństwa komunizmu, które grozi naszej kulturze, naszemu stanowi posiadania, naszej cywilizacji, jak o tem pięknie mówił Mussolini w wywiadzie w „Völkischer Beobachter". Mniej zapewne spodoba się w Londynie ustęp tegoż wywiadu o przeżyciu się demokracyj, które „świadomie lub nieświadomie są dziś ogniskami zarazy, nosicielami mikrobów i pomocnikami bolszewizmu". W każdym razie trzeba być przygotowanym na nową ofensywę niemiecko - włoską na Anglję. Dopiero po jej zwycięskiem przetrzymaniu będzie można mówić o rzeczywiście pokojowem uregulowaniu stosunków europejskich.

Z 7 dni

Co to jest sejm? Jest to zbiórka ludzi dobrze płatnych i źle orjentujących się, których lękliwe pogwarki o sprawach podrzędnych nie wykazują jakichkolwiek namiętności politycznych. Takby się zdawało. Tymczasem poseł Nr. 116 zaprzeczył tym poglądom przynajmniej częściowo. Wcale nie lękliwie zaatakował samotną Szwedkę w pociągu, co wprawdzie nie wykazało jego dobrej orjentacji, ale dało ujście jego namiętnościom — nazwijmy je — hiszpańskim. Ponoć ów numerek mówił później w sejmie o poczcie i telegrafie. Gdyby to kogokolwiek interesowało, co się mówi w sejmie, to należałoby mu powierzyć referat spraw bezpieczeństwa publicznego.

*

W zeszłym n-rze Odnowy zaalarmowaliśmy opinję publiczną pogłoską, że p. Janusz Jędrzejewicz jest kandydatem na stanowisko dyrektora funduszu kultury narodowej. Z prawdziwą radością komunikujemy, że pogłoskom tym zaprzeczono ze stron najbardziej miarodajnych.

KAROL BADER.

Kultura wsi

W rzetelnej trosce o rolnika czy w czułych zabiegach o względy chłopa, wszystko jedno, najmodniejszym przebojem jest wołanie o kulturę wsi. Dość jest, istotnie, staroświeckich sposobów. Z pałaców, dworów i dworków nie przychodzi do wioski przykład i nauka. Coraz rzadszem jest zjawiskiem uspołeczniony dwór, pani czy panienka z książką i haftem, z opieką społeczną i lekarstwem. Z tej strony też wieje dziś przeważnie kłopot i bieda, i inne konsekwencje reguły równania w dół. Cienka, mizerna struga, która przez wieki ciekła ku strzechom, kultura, nikomu nie wystarcza. Wieś czeka dopływu obfitego i szybkiego.

Zapewnić go winna była naprawa ustroju samorządowego, która niedawno weszła w życie. Samorząd terytorjalny może i powinien być szkołą i wszechstronnem narzędziem kultury wiejskiej. Wzięto też rozmach nielada. Wielka gmina zbiorowa powstaje jako ośrodek działań obywatelskich i pracy nad zaszczepieniem kultury własną siłą i z własnej chłopa woli i energji. Kto wejrzeć pragnie w marzenia i zmierzyć możliwości nowego ustroju, niech kupi i przejrzy druk - formularz budżetu gminnego. Na kilkunastu jego pierwszych stronicach rozpościera się idealny obraz czy sen o samorządnej i niezawisłej kulturze wiejskiej: są rubryki domów ludowych, bibljotek czy świetlic, sztuki, higjeny i dróg, oświaty rolniczej i popierania rolnictwa i t. d. i t. d.

Wiadomo, że te rubryki pozostają — na razie? — puste, kreskowane. Nieopłacalne rolnictwo nie daje żadnych środków na potrzeby kulturalne. To znaczy, że nie daje n a d w y ż e k na te cele. Są bowiem fundusze, acz skromne, ale te wpływy zjada administracja. To jest plaga i klęska wszelkiego wysiłku organizacyjnego. Jakibyśmy samorząd wprowadzali, Izbę rolniczą, zarząd gminy, wydział powiatowy, spółdzielnię i t. p., wszystko się zacząć musi od biura, które piorunem zgarnia składki i skonsumuje je, zanim pierwsze wyniki społecznego wysiłku objawić się zdołają. Wieś całą ogarnął wskutek tego wstręt i lęk przed wszelką zbiorową pracą: chłop przy każdej takiej okazji splunie, a przyciśnięty do muru o składki konkluduje, że orząc i bronując starym obyczajem jakoś te psie czasy przeżyje sam na swoich śmieciach.

Eskamotaż funduszów i składek odstrasza od inicjatywy, i niemniej zniechęca eskamotaż w zakresie celów, zadań, interesów: do czego dziś bowiem służy samorząd? Jest w zakresie działania jego, na terenie gminy, mnóstwo chwalebnych i tyleż nieodzownych funkcyj, a więc spisy ludności i meldunki, spisy poborowych i koni dla celów wojskowych, utrzymanie lokalów dla szkół powszechnych, dostarczenie mieszkań dla nauczycieli i t. d. Wszystko to jednak określa nie gmina, lecz ustawa państwowa, i o samorządzie szkoda mówić. W tym zakresie jest zarząd gminny wykonawcą ustawy i woli państwowej administracji, której słucha. Jak widać, państwo eskamotuje całą energję, czas i zasoby materjalne samorządu dla celów i zadań swoich, przyczem wieś bynajmniej nie doznaje tu zawsze przyjemnego wrażenia, że gmina działa w swoim i mieszkańców interesie. Spełniwszy te zadania poruczone przez państwo, gmina nie znajdzie siły na nic innego.

Eskamotaż trzeci jest natury ustrojowej, organizacyjnej, ściśle mówiąc politycznej. Nikt już nie żyje złudzeniem władzy samorządu. Jak kraj długi, zaciągnięto nową sieć urzędników, docierających w głąb wsi i jej życia codziennego. Ta nowa kadra pracowników ustanowionych dla służby interesom rolnym i lokalnym z miejsca ujęta zostało ostro przez administrację państwową w karby surowej dyscypliny i kontroli. Pan Starosta jest przewodniczącym Wydziału Powiatowego i jako taki sprawuje władzę nad samorządem powiatowym i gminnym, jest zarazem panem życia i śmierci biurokracji samorządowej. Jemu ona służy, jego słucha i naprawdę ani wójt, radny czy ławnik nie posiada więcej autorytetu wobec urzędnika swego, co petent po drugiej stronie okienka. Bez wyjątku niemal pracuje sekretarz gminny ręka w rękę z urzędnikiem wydziału powiatowego, t. zw. inspektorem, oraz z nauczycielstwem, które weszło w ostatnich wyborach do rad i zarządów. Odrazu osaczono przedstawicieli ludności wiejskiej ze wszech stron, a presja, której wybrany obywatel wiejski ulega, nie wynika bynajmniej tylko z intelektualnej przewagi kształconego urzędnika i nauczyciela: bo każdy wie doskonale, że działają oni zgodnie i karnie wedle zlecenia starosty, z jego ramienia i autorytetu. W tych warunkach w radzie powiatowej czy gminnej i na samorządowem stanowisku nie ostatnie się żadna krytyczna myśl i niezależna jednostka.

Krótko streszczając wyniki reformy, rzec można bez przesady, że państwo, czyli administracja pochłonęła wszystkie dziś środki i zaprzątnęło cały aparat samorządu swojemi funkcjami, zaś liczny i ważki personel samorządowych pracowników uzależniło całkowicie od urzędów swych, a to z tej głównie przyczyny, że ustawa w ręce starosty złożyła kierowniczą i nadzorczą władzę nad samorządem powiatowym i gminnym.

Obraz reformy tej godzien jest zawisnąć w jednym szeregu obok dzieł naprawy wszechnic, szkolnictwa, teatrów i t. d; wszystkie z tego samego poczęte ducha malują wiernie a plastycznie styl epoki. W tej serji i na to kopyto tworzy biurokracja w swej nieskończonej i zapobiegliwej opiece nowy organ, instytut czy towarzystwo krzewienia kultury na wsi. Dyrektor i urzędnicy zabiegać będą bez końca o kredyty, zapewne nadaremno. Na wszelaką petycję odpowiedzą uprzejmie, że brak środków nie pozwala przychylić się do wniosku. Będą zato pisali memorjały, wymieniali je między sobą i z urzędami, wydawali opinje i uczęszczali na międzyministerjalne narady. Nikt się o tem w kraju nie dowie i nikt troszczyć nie będzie się zbytnio o to, że jeszcze jedno, nowe kółko tej maszyny w próżni wolno się obraca. Kto potrzeby i siły wiejskie rozumie, wie napewno, że dźwignią kultury na wsi będzie rzetelna naprawa samorządu terytorjalnego, rozwój jego życia i wolności.



GDY ZABRAKNIE WODZA.

W jednym z serji artykułów o państwach totalnych, drukowanych w „Głosie Narodu“ (10 stycznia) rektor Stanisław Kutrzeba zastanawia się nad tem, co się stanie z państwami totalnemi — gdy zabraknie wodza.

„Najprostszem, najpewniejszem rozwiązaniem — pisze — byłoby zastąpienie ustępującego Führera przez nowego, postawienie w miejsce tego duce, który się skończył, innego. Jak po cesarzu — cesarz, po królu — król; *le roi est mort, vive le roi.* Mądrze to urządziły monarchje, mające często tradycje wiekowe. Następcę legalnego uznano za wskazanego przez Boga; toć on: dei gratia, pomazaniec. Anglja dodała do tego jeszcze pewną mądrą modyfikację: ten król zawsze jest rozumny, zawsze mądry, zawsze dobry — choćby naprawdę był inny. Źli mogą być tylko jego doradcy. A więc zawsze wybór jest — odpowiedni. Trudniej z następcą, gdzie niema dynastji,

Najlepiej poradził sobie — Tybet: tam w razie śmierci Dalaj - Lamy szuka się dziecka, które urodziło się w tej samej chwili, gdy on umierał; w to dziecko wcielił się — wierzą — znowu Budda. Difikuje się więc wprost tego nowego władcę. A poddani i tak go widzieć nie będą, otoczonego kapłańską elitą, która za niego rządzić będzie, gdy nieletni, i odpowiednio go urobi, by jej dalej służył, gdy dorośnie; ona zaś przechowuje tradycję. A pomoże wiara ludu, że to wcielony Budda.

Ale z dyktatorem trudniej. On prowadzi rządy *osobiste. Jego* decyduje wola. *On* bierze pełną odpowiedzialność za rządy. Stać musi w pełnem świetle. Nie można go ukryć w mgłach dalaj-lamowej legendy. Ani schować za parawan dalaj - lamowych doradców...“

Oczywiście tak. Ale bywają odchylenia. Pół - światła. Mgły otaczają niekiedy i wodzów. Parawany z elity czasem także. W każdym razie dobre to przypomnienie o Dalaj - Lamie może się przyda.

Naszym totalistom do ich planów.

F. ZDANKIEWICZ.

Zagadnienia gospodarcze kongresu panamerykańskiego

(Korespondencja własna).

W VII Kongresie wszechamerykańskim, który odbył się w grudniu z. r. w Buenos Aires, brały udział delegacje 21 państw, dominującą wszakże rolę odegrały tylko trzy państwa, te, których motywem działania były nie tyle polityczne, ile gospodarcze sprawy, a mianowicie Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, Argentyna i Brazylja. Rolę tradycyjnego języczka u wagi objęło Chili, które, deklarując się przeciw powołaniu do życia Wszechamerykańskiej Ligi Narodów i Trybunału Rozjemczego, podtrzymało zwarty front krajów ABC przeciw politycznym życzeniom Stanów Zjednoczonych.

Utrzymały się więc zasadnicze różnice ras, rozbieżność między zaborczością anglosaską a regjonalizmem romańskim, między północną doktryną Monroe'go a europejskiemi tradycjami południa. Stany Zjednoczone miały przecież, przystępując do konferencji, znacznie dalsze zamiary, niż czysto techniczne zabezpieczenie pokoju na swoim kontynencie: Prasa północno - amerykańska podkreślała przed rozpoczęciem kongresu silnie, że dla Stanów Zje-

dnoczonych będzie on środkiem wzmocnienia wpływów polityczno - gospodarczych w Ameryce Południowej i zabezpieczenia się przed wzrastającą konkurencją Europy na tamtejszym rynku.

Okazało się jednak, już w pierwszych dniach kongresu, że zamiary te będą trudne do wykonania. W inauguracyjnem przemówieniu prezydent Argentyny Justo wyraźnie zaznaczył, że Ameryka nie chce stwarzać ani nowego międzynarodowego prawa, ani jakiegoś zbiorowego organizmu, ani nowych form współżycia narodów. Była to piękna manifestacja na cześć genewskiej Ligi Narodów, która się cieszy wielkiem poparciem w krajach Ameryki romańskiej; ale przyczyn takiego postawienia kwestji należy szukać nietylko w członkostwie Ligi. Oto w Argentynie lwia część zaangażowanych kapitałów zagranicznych należy do Anglików; Anglja też bierze przeważający udział w argentyńskim handlu zagranicznym. Te oto handlowo polityczne i finansowe więzy znalazły swój wyraz w przemówieniu prezydenta Justo, a ekspansja gospodarcza anglosaskiej Ameryki natrafiła na wstępie na przeszkodę ze strony anglosaskiej ekspansji gospodarczej jej macierzy.

Najwięcej nadziei przywiązywały Stany Zjednoczone Ameryki Północnej do stanowiska Brazylji. Jeżeli bowiem Ameryka anglosaska zawsze natrafiała na niechęć i nieufność w Ameryce romańskiej, to ta niechęć najmniej dawała się odczuwać w Brazylji, w której także i do nieufności, do obaw, by nie popaść w zależność gospodarczą, a potem polityczną — spiritus movens wzajemnego stosunku obu części kontynentu amerykańskiego — najmniej było powodów.

Brazylja bowiem niemal równomiernie rozdziela swe zainteresowania gospodarcze między obu konkurentów. Kapitały zagraniczne, zaangażowane w Brazylji, pochodzą niemal w jednakowych ilościach od Yankesów i z Europy. Wprawdzie Stany Zjednoczone są głównym odbiorcą brazylijskiej kawy, ale w ostatnich czasach Brazylja zrównoważyła tę jednostronność silnem wzmocnieniem stosunków handlowych z Europą. Jest to wynik zmiany kierunku produkcji.

Kawa przez długi czas zajmowała w eksporcie brazylijskim tak dominujące stanowisko, że dochodziła w wartości efektywnej do trzech czwartych całej pozycji wywozu. Ta przewaga jednego produktu wywozowego nad wszystkiemi innemi groziła stałem niebezpieczeństwem bilansowi handlowemu. Każde bowiem przesilenie na rynku kawowym, czy to z powodu klęsk elementarnych, czy zbytniej podaży, czy wreszcie — bo i tak bywało — spekulacji odbiorców, groziło katastrofą finansową.

Obecnie wywóz kawy z Brazylji sięga już tylko 50% ogólnej cyfry wywozu. Jest to wyraźne uzdrowienie brazylijskiego handlu zagranicznego, — a płacą za kurację Stany Zjednoczone. Drugie bowiem miejsce w brazylijskim eksporcie zajęła od niedawna bawełna, produkt, który jeszcze przed trzema laty zajmował nieznaczną pozycję na szarym końcu listy eksportowej, a który już sięga połowy wartości wywożonej kawy, przyczem wywóz jego bynajmniej nie osiągnął punktu kulminacyjnego. Właśnie w ostatnich dniach powróciła z Tokjo brazylijska misja handlowa, przywożąc uzasadnione nadzieje na realizację ogromnych dostaw bawełny do Japonji. Każda taka transakcja — a zawierano je dotychczas niemal wyłącznie z Europą — uwidacznia się bezpośrednio w spadku bawełny w handlu zagranicznym U. S. A.

Nic więc dziwnego, że Brazylja nie może się gospodarczo odciąć od Europy — która zresztą również prawie połowę jej kawy zabiera — i że próby Stanów Zjednoczonych, by zawrzeć z Brazylją układ, regulujący i osłabiający jej konkurencję na polu bawełny, spełzły na niczem. Stąd stosunek Brazylji do doktryny Monroe'go i jej gospodarczych konsekwencyj musiał być również negatywny.

Inne delegacje nie wyszły poza teren swoich lokalnych zainteresowań. Tarć miejscowych, które miał kongres wyjaśnić i usunąć, było wiele, między innemi przdmiot kilkoletniej wojny, sprawa okręgu Chaco, która do tej pory nie jest ostatecznie załatwiona. Pomimo tego wysunęła Boliwja nową kwestję, tym razem z uszczerbkiem Chili: żąda dostępu do morza, a osiągnąć go może jedynie na wybrzeżu chilijskiem.

Wyszły więc Stany Zjednoczone z kongresu w Buenos Aires z dyplomatyczną porażką. Nie pomógł wybór stolicy argentyńskiej na miejsce obrad, który miał być, w oparciu o prawo gościnności i kurtuazję gospodarza, przeciwwagą argentyńskiej do Stanów Zjednoczonych niechęci.

Wielkie plany gospodarcze się rozbiły. Załatwiono natomiast szereg spraw drobnych, lokalnych, tych przedewszystkiem, które utrudniały wzajemną wymianę handlową. Znane i w Polsce — przy wywozie nierogacizny do Austrji — szykany weterynaryjne i sanitarne stanowiły w ostatnich czasach w handlu wewnętrzno - amerykańskim trudną do przezwyciężenia zaporę. W tym zakresie zwyciężyło na kongresie liberalniejsze stanowisko Stanów Zjednoczonych. Jest to w stosunku do ogromu zamiarów drobny tylko zysk U. S. A.

Front ABC wyszedł z kongresu ostatecznym zwycięscą.



W SPRAWIE PEWNEGO ZAIMKA, CZYLI: JĘZYK ŁAPSERDACZEJE.

W jednym z dzienników czytam:

1) Chrześcijańscy wytwórcy i sprzedawcy dewocjonaljów powinni jak najrychlej doprowadzić do stworzenia ogólno-polskiej organizacji, która miałaby za zadanie nietylko obronę interesów zawodowych, ale zwalczanie czynników obcych w handlu dewocjonaljami, i podniesienie poziomu ich wytwórczości.

Jakoś mi się to nie widzi: Z jednej strony będą zwalczali „czynniki obce w handlu", a z drugiej będą dbali o „podniesienie poziomu ich wytwórczości"? Tak, jak się poziom wytwórczości obcych czynników podniesie, to konkurencja będzie trudniejsza... Chyba że katolickim wytwórcom i sprzedawcom dewocjonalij zależy na podniesieniu poziomu s w e j wytwórczości?...

W tem samem piśmie czytam przed kilku laty o strasznym wypadku we Francji, kiedy dwie pomocnice domowe zabiły swoją pracodawczynię i jej córkę: zamordowane znaleziono w ich sypialni — i początkowo nie wiadomo było, kto je zabił; podejrzenie padło na służące,

„które zamknęły się w ich sypialni".

I c h, to jest czyjej? Tych zamordowanych? Kiedy w takim razie nie byłoby ani chwili wątpliwości, kto je zabił, i wogóle odkrycie zwłok nastąpiłoby było równocześnie z otwarciem sypialni, w której zamknęły się morderczynie, tymczasem zwłoki naprzód były znalezione. Więc co to znaczy? To znaczy, że morderczynie zamknęły się w s w o j e j sypialni, s w o j e j a nie i c h!

Od szeregu lat obserwuję ten sam błąd gramatyczny, na skutek którego następują takie konfuzje sensu, a mianowicie zanikanie zaimka dzierżawczego zwrotnego. Nawet u dobrych pisarzy znajduję niekiedy zdania tak ułożone, jakby językowi polskiemu brakowało tych słów: S w ó j, s w o j a, s w o j e.

Proszę pamiętać: Jeśli się mówi o czemś, co jest własnością osoby lub rzeczy, wyrażonej w podmiocie zdania, to się w języku polskim (pod tym i niejednym względem języku ścisłym), używa: S w ó j, s w o j a, s w o j e.(Np.: Drzewo rozpostarło s w e konary, a nie: j e g o; natomiast: w j e g o domu jest zimno, bo o n nie jest podmiotem tego zdania itp.). Wogóle uboży się, psuje i blaknie język. Kto np. jeszcze pamięta (prócz nielicznych pisarzy dbałych), że mamy w języku naszym czas zaprzeszły? Plusquamperfectum zanika gwałtownie. A szkoła? Z gramatyką w naszej szkole średniej jest nieświetnie. Uczą się interesujących spostrzeżeń z fonetyki, a niewiele wiedzą o czasach, trybach i konjugacjach. Wszystko zostało postawione na głowie. Dają luksusowe wiadomości, nie dawszy podstaw. Sławetna reforma ortograficzna, która pod demogogicznem hasłem uprzystępnienia pisowni masom utrudniła ją nawet wykształconym, rozrywając, djabli wiedzą po co, stare i sensowne zrosty! — pod hasłem anarchicznem, że w języku niema miejsca na nic normatywnego, bo wszystko jest „zjawiskiem językowem" (objektem dla b a d a c z y z m i a n), przyczynia się już do fonetycznej entropji, dźwiękowego opadania naszej polszczyzny, szarej i szorstkiej, ale i ozdobnej złotemi i czerwonemi, lśniącemi i ślicznemi dźwiękami, cieniowanej subtelnie końcówkami. To wszystko powoli wypada i zapodziewa się.

Jak tak dalej pójdzie, to za 1000 lat język polski będzie łapserdakiem: brzydki w wymowie, zmizerowany w formach.

— Ach, za tysiąc lat dopiero...
Tysiąc lat mignie, jak z bicza trzasł.

Cyrano.

ADAM ORDĘGA

Kwestje podstawowe w organizacji szkolnictwa powszechnego

Pod takim tytułem ukazała się niedawno praca dra Marjana Falskiego, kierownika referatu statystycznego Ministerstwa W. R. i O. P., oświetlająca szereg podstawowych zagadnień z zakresu potrzeb szkoły powszechnej. Oparta na bogatym materjale statystycznym, zaopatrzona w szereg wykresów i map, wolna naogół od tendencyjności, daje dobry wgląd w sytuację szkolnictwa powszechnego.

Już pierwszy wykres autora, dotyczący zmienności liczby dzieci 7 — 13 letnich w okresie lat 1921/2 — 1941/2, nasuwa wiele refleksyj. Powodem tej zmienności był spadek urodzeń w latach wojny, wzmożony wzrost urodzeń w pierwszych latach po wojnie (1919 — 22) i wreszcie w ostatnich latach (1930 —33) spadek urodzeń, związany z kryzysem gospodarczym. Stąd poszły wahania w liczbie dzieci 7 — 13-letnich, która w pierwszych latach niepodległości szybko się obniża, spadając do 3597000 w roku 1927/8, następnie zaczyna się podnosić, dochodząc do 5447000 w roku szk. 1937/8, poczem znowu zacznie się na kilka lat obniżać. Przypatrując się wykresowi graficznemu w książce Falskiego (s. 3) widzimy, jak od roku 1930/1 liczba dzieci 7 — 13 letnich gwałtownie wzrasta. Cóż było elementarnym obowiązkiem przewidujących władz szkolnych? Oto skupić cały wysiłek, by zapobiec katastrofie.

Niestety w tym najgroźniejszym czasie dla polskiej oświaty ministrem był Janusz Jędrzejewicz, który zamiast zapobiec katastrofie szkolnictwa powszechnego, zaczął około roku 1931 przygotowania do reformy szkolnej. Zamiast skoncentrować cały wysiłek budżetowy ministerstwa oświaty na tworzeniu nowych etatów nauczycielskich i powiększaniu ilości nowych budynków szkolnych, „premjer kulturalny" rozpoczął przeszkalać nauczycielstwo w duchu nieistniejącej ideologji „Zrębu".

Jakżeż wygląda obecnie realizacja powszechnego nauczania? Wskaźnik realizacji dla całej Polski spada z 91,1% w roku 1932/3 na 88% w roku 1934/5. Liczbę dzieci, nieobjętych powszechnem nauczaniem, szacować więc należy w końcu roku 1934/5 na przeszło m i l i o n dzieci. Dr. Falski, naogół wstrzymujący się od wszelkiego komentarza i ograniczający się do rejestracji faktów, tu jednak nie mógł się wstrzymać od stwierdzenia, że „są to liczby olbrzymie, wręcz zatrważające. A perspektywy dotyczące najbliższej przyszłości są niemniej groźne. Liczba dzieci, podlegających obowiązkowi szkolnemu, będzie bowiem jeszcze przez szereg lat wzrastała. Z drugiej strony, pojemność szkolnictwa powszechnego, nawet, gdyby się dalej miało tolerować anormalne przeludnianie szkół i przeciążanie nauczycieli uczniami, znajduje się dziś najwidoczniej u kresu".

Na różnych obszarach kraju stan realizacji powszechnego nauczania przedstawia się rozmaicie. Korzystnie naogół przedstawiają się stosunki na Śląsku, Pomorzu i w Poznańskiem, nienajgorzej jeszcze w województwie krakowskiem, niezadawalniająco natomiast na pozostałym obszarze kraju, szczególnie źle na kresach wschodnich, nadewszystko na Wołyniu, gdzie wskaźnik realizacji gwałtownie spada do 16% w roku 1933/4. Nie lepszy stan powszechnego nauczania mamy w szeregu powiatów wschodniej Małopolski. Przyczem autor z naciskiem podkreśla, iż pogorszenie się stanu powszechnego nauczania na terenie wschodniej Małopolski „zarysowuje się w całej jaskrawości" w porównaniu ze stanem dawniejszym np. z roku 1925/6. Oto jak wygląda w praktyce nasza polityka kresowa!

Dane przytoczone w książce p. Falskiego pozwalają zdać sobie sprawę z roli prywatnego szkolnictwa powszechnego. Pod względem ilościowym odgrywa ono małą rolę, choć nieco większą w ostatnich latach niż poprzednio. Liczba uczniów prywatnych szkół powszechnych w stosunku do ogólnej ilości uczniów, objętych powszechnem nauczaniem, stanowi w roku 1925/26 2,7% a w roku 1934/5 3,1%. Różnice w zasięgu prywatnego szkolnictwa powszechnego na poszczególnych obszarach kraju są dość znaczne.

Prywatne szkolnictwo powszechne skupia się głównie w miastach i na obszarach pewnych województw wschodnich obejmuje wcale znaczny procent uczniów. (W samej Warszawie 15%). Na wsi nie odgrywa prawie żadnej roli. Głównym rysem szkół powszechnych prywatnych jest to, iż mają one na ogół mniejszą liczbę uczniów; p. Falski wysnuwa stąd wniosek, iż są „mniej ekonomiczne od publicznych", a mając środki niedostateczne, „nie mogą być dźwignią postępu". Nie zgadzamy się z tem stanowiskiem autora. Mają one bowiem jedną zasadniczą wyższość nad szkołami publicznemi, obciążenie nauczyciela ilością dzieci jest w nich mniejsze niż w szkole państwowej, co stwarza bez porównania dogodniejsze warunki pracy szkolnej.

Z pośród organizacyj polskich najwięcej szkół prywatnych prowadzi Polska Macierz Szkolna, Rodzina Wojskowa i Towarzystwo Szkoły Ludowej. Dominują wśród koncesjonarjuszy tych szkół instytucje, których zainteresowaniem szczególnem, wedle słów autora książki, jest „wychowanie religijne młodzieży, albo też odrębne wychowanie tej lub innej grupy narodowościowej". (Organizacje żydowskie, ukraińskie i niemieckie).

Z przedstawienia p. Falskiego wyczuć się daje między wierszami jego niechęć do szkoły prywatnej. Naszem zdaniem, poiltyka oświatowa państwa winna pozostawić możliwie wielką swobodę szkolnictwu prywatnemu polskiemu, bo wszak tylko szaleniec mógłby twierdzić, że Polska Macierz Szkolna czy Rodzina Wojskowa nie będzie wychowywać w duchu polskiej racji stanu. I dlatego ataki tępych doktrynerów ze Związku Nauczycielstwa Polskiego na Polską Macierz Szkolną są godne najostrzejszego potępienia. Szkolnictwo prywatne, prowadzone przez instytucje mniejszości narodowych, winno być przez państwo nadzorowane, by jego kierunek nie mógł iść po linji rozmijania się z interesami państwowości polskiej. Autor wskazuje, że „szkoły żydowskie religijne" wytworzone na podłożu przystosowania tradycyjnych chejderów do programu współczesnej szkoły powszechnej, „korzystają ze specjalnych ulg w stosunku do obowiązującego szkołę publiczną programu". Czy dalsze konserwowanie takiego uprzywilejowania jest wskazane, można mocno powątpiewać. Wszak na wschodnich połaciach kraju szkoły takie są zatokami istnego kołtuństwa i najdzikszego fanatyzmu religijnego.

Materjały przytoczone w omawianej książce pozwalają też przypatrzeć się, jak wielkie jest obciążenie nauczyciela uczniami. I tak cały ciężar nauczania przedmiotów świeckich w publicznych szkołach powszechnych spoczywa na barkach 71000 nauczycieli. Załamanie nagłe w dotychczasowem stopniowem przyrastaniu liczby nauczycieli nastąpiło od roku 1930/31, co tem bardziej zwraca uwagę, iż przypada na okres szczególnie wzmożonego przyrostu dzieci.

Przed rokiem 1930/1 przeciętne obciążenie nauczyciela uczniami mogło conajwyżej nieznacznie przekraczać liczbę 50, gdy w r. 1934/5 wynosiło już 63 uczniów na nauczyciela. I znów obciążenie najniższe wykazuje Śląsk (44), nieco wyższe Poznańskie i Pomorze oraz miasto Warszawa, znacznie wyższe reszta kraju, a w szczególności kieleckie (70 uczniów na nauczyciela), wołyńskie i poleskie (84). I tu także sytuacja wsi przedstawia się gorzej, niż położenie miast, gdyż przeciętne obciążenie nauczyciela szkół miejskich wypada daleko niżej od przeciętnego obciążenia nauczyciela szkół wiejskich. Tak wysokich obciążeń, jakie dziś mamy w Polsce, nie spotyka się prawie w innych krajach.

Z zestawienia porównawczego widać, że z 27 krajów europejskich jedynie przed kilku laty Grecja i Hiszpanja miała podobnie wysokie obciążenie nauczyciela uczniami. W chwili dzisiejszej wysokość naszego obciążenia jest chyba unikatem w Europie, jesteśmy w tyle poza Albanją, Bułgarją, Litwą. Dla porównania stosunków naszych z sąsiadami warto dodać, że gdy w Niemczech w roku 1931/2 wynosiło ono 39,9, w Rosji 41,9 — to w Polsce wynosiło w r. 1934/5 — 63. Jak w takich warunkach szkolnych spada wydajność pracy uczniów i jak rośnie wyczerpanie nauczycieli w stosunku do potrzeb lat najbliższych, oblicza autor na liczbę olbrzymią, bo dochodzącą do 47000, co najlepiej świadczy o tragicznej wprost rozbieżności między celami szkoły powszechnej.

a możliwościami obecnej jej pracy. Ten olbrzymi niedobór nauczycieli szkół powszechnych wynikł „z dysproporcji pomiędzy malejącym stopniowo w latach ostatnich odsetkiem wydatków na oświatę, a coraz rosnącem zapotrzebowaniem etatów nauczycielskich, związanem ze wzmożonym w tych latach przyrostem dzieci w wieku obowiązku szkolnego".

Równie rozpaczliwie przedstawia się sprawa niedoboru izb lekcyjnych. W r. szk. 1933/4 przeciętne obciążenie w kraju wynosiło 68,5 uczniów na izbę, znów kieleckie miało fatalne warunki (82 uczniów na izbę), tak samo poleskie, wołyńskie, a nawet miejskie szkoły Warszawy. Brak nam zatem około 45000 izb szkolnych. W ostatnich 8 — 10 latach budowano w Polsce przeciętnie rocznie po 1000 — 1500 izb lekcyjnych. Dopóki budujemy w tem tempie, sprawa nie rusza z miejsca.

Zgadzając się z autorem, że budowa szkół musi być prowadzona w daleko szybszem tempie, niż dotychczas, rozchodzimy się z nim, gdy twierdzi, że budowa własnych gmachów szkolnych „winna być prowadzona pod kątem szkół najwyżej zorganizowanych". Tu pokutuje ów nierealny miraż 7-klasówki, o którym pisaliśmy w poprzednim numerze „Odnowy".

Cyfry, podane w oficjalnem wydawnictwie ministerstwa oświaty, są nadwyraz groźne. Stan szkolnictwa powszechnego kryje w sobie groźbę analfabetyzmu. Trzeba stwierdzić dobrą wolę prof. Świętosławskiego, który w bieżącym roku szkolnym zwiększył liczbę etatów nauczycielskich o 2000, na najbliższe zaś 3 lecie planuje zwiększyć o 12000. To niezawodnie przyniesie pewne odprężenie.

Pozostaje jednak tragiczna sprawa niedoboru izb lekcyjnych. W pewnych kołach istnieje złudzenie, jakoby sprawę tę mogła rozwiązać akcja Towarzystwa Popierania Publicznych Szkół Powszechnych. To fikcja. Filantropją i wyciąganiem pieniędzy ze zbiedniałego społeczeństwa nie rozwiąże się tej sprawy! Nie rozwiążą jej też wysiłki samorządu wiejskiego, gdyż wieś jest dziś zbyt biedna. Kwestja należytego poziomu szkoły powszechnej jest jak najściślej zespolona z kwestją obronności państwa. Tysiące rekrutów — analfabetów, to obniżenie sprawności armji. Bo inaczej nie wyjdziemy z zaklętego koła fikcyj. Fikcją taką jest filantropja Tow. Popierania Budowy Publ. Szkół Powsz., którego ojcami są Jędrzejewicz i Pieracki. Podnosząc sobie pensje ministerjalne, tworzyli równocześnie to Towarzystwo, apelując do fiarności publicznej.

Sytuacja więc szkolnictwa powszechnego przedstawia się rozpaczliwie. Trzeba, by świadomość tego stanu rzeczy przeniknęła w najszersze masy społeczeństwa. Trzeba za wszelką cenę znaleźć fundusze w budżecie państwa na ratowanie szkoły powszechnej.

Muzyka

J. BONIECKA.

Nieco o programach

Pod powyższym tytułem ukazał się w „Prosto z mostu" artykuł, omawiający układy programów w Filharmonji Warszawskiej. Artykuł porusza sprawy wielokrotnie już przy różnych okazjach omawiane, i wyraża dezyderaty naogół nie nowe; na uwagę zasługuje z tego jednak względu, że syntetyzuje grupę zagadnień, poruszanych dotychczas powierzchownie i jedynie „okazyjnie".

Autorowi artykułu, tak, jak poprzednio wielu krytykom muzycznym, idzie w pierwszym rzędzie o szersze uwzględnienie muzyki nowej, a w Warszawie nieznanej, w programach koncertów symfonicznych. „Skąd ma poznać publiczność nowe dzieła, jeśli nie z estrady koncertowej?" pyta krytyk muzyczny „Prosto z mostu". Pytanie jest niewątpliwie słuszne i dopuszcza właściwie jedną tylko logiczną odpowiedź; zresztą musimy lojalnie stwierdzić, że Filharmonja słuszność tej sprawy do pewnego stopnia uwzględnia. Czy ów stopień uwzględnienia odpowiada istotnej potrzebie, a zwłaszcza, czy odpowiada gustom większości muzyków i szerokiej publiczności, jest już sprawą dalszą i nie to nas zresztą w tej chwili interesuje. Idzie o coś innego. Przytoczone wyżej pytanie, rzucone w ostatnim numerze „Prosto z mostu", zahacza o zagadnienie zbyt skomplikowane, żeby istotnie można było na nie poprostu jednem zdaniem odpowiedzieć i zdanie to potraktować jako przesłankę, z którejby kierownicy programowi Filharmonji mogli wysnuć odpowiednie wnioski. Zmieńmy nieznacznie formę omawianego zdania, zapytajmy się poprostu, skąd ma poznać publiczność dzieła muzyczne w o g ó l e, jeśli nie z estrady koncertowej — a wejdziemy dopiero wówczas w sedno zagadnienia, a nie w jego cząstkę.

Wydaje nam się bowiem, że uporczywe nawoływanie do zwiększenia pozycji owych „nowinek muzycznych" — jak je autor omawianego artykułu nazywa — w programach koncertów, jest, ostrożnie mówiąc, lekkomyślnością. Jest nią niewątpliwie w środowisku, które, posłuszne owym nawoływaniom, daje jednak swym słuchaczom owe „nowinki", niekiedy bardzo, a niekiedy niebardzo wartościowe, ale które n i g d y dotychczas nie zdobyło się na wykonanie własnemi siłami ani mszy h-moll, ani żadnej z Pasji Bacha, w którem leży odłogiem cały olbrzymi i bezcenny dział twórczości muzycznej: muzyka oratoryjna. W środowisku tem teatr operowy nietylko stroni od jakichkolwiek „nowinek", ale od wielu lat już kroczy upartą i nudną ścieżką najmniejszego oporu, omijając wiele kapitalnych dzieł z dziedziny twórczości operowej. A skądże to ma poznać publiczność tę wspomnianą już mszę Bacha, skąd jego kantaty, skąd oratorja Händla i Haydna, skąd msze i Requiem Mozarta, skąd tegoż Mozarta najpiękniejsze opery, skąd straussowską „Elektrę" czy innego „Kawalera srebrnej róży", skąd wreszcie „Śpiewaków norymberskich, czy „Pierścień Nibelunga"?

„Prostu z mostu" porównuje publiczność warszawską, kształconą na programach Filharmonji, do ludzi, „którzy nieustannie czytają „Trylogję" od początku do końca i znów od początku", nie interesując się wcale nowszą literaturą. Wydaje nam się jednak, że przy obecnym stanie rzeczy może nam grozić niebezpieczeństwo nie usłyszenia nigdy wielu cennych „Trylogji" — jeśli przeniesiemy analogję na teren muzyczny — a tej luki nie wypełnią nam żadne „nowinki", choćby dlatego, że obok cennych Mauriac'ów, możemy często, a całkiem zbytecznie napotkać... Pitigrillich.

Jest jeszcze jedna ważna sprawa, wkraczająca w zakres niniejszego zagadnienia. Jest nią sprawa wychowania nowych pokoleń muzycznych. Studjująca muzykę młodzież m u s i poznawać przedewszystkiem te dzieła, które z perspektywy lat oceniliśmy bezapelacyjnie, jako dzieła wielkie. Wszelkim kryterjom, stosowanym do „nowinek", brak owej perspektywy, która jest nieodzownie potrzebna do wydawania możliwie objektywnych i ugruntowanych sądów. To też częste wykonywanie dzieł wielkich, choć dawnych, wprowadzanie na estradę tych spośród nich, które dotychczas bądź nie były wykonywane wcale, bądź też jedynie niezmiernie rzadko, wydaje nam się sprawą nieporównanie ważniejszą, niż powiększenie istniejącej już pozycji „nowości" w programach muzycznych naszego miasta. Nie do „Trylogji" bowiem, ale do wielkiej twórczości Szekspira, Corneille'a, Goethe'go, czy Mickiewicza porównać można dzieła Beethovena. Wagnera, czy Brahmsa, nie bacząc na to, czy się komuś którykolwiek z tych twórców „znudził", czy też nawet wogóle „nie podobał".

Świat pracy

ZATARG W PRZEMYŚLE POŃCZOSZNICZYM.

Związek fabrykantów pończoszniczych w Łodzi, gdzie mieści się centrala tego przemysłu, wypowiedział umowę zbiorową. Istnieje tendencja do znacznego obniżenia płac robotniczych. Wywołało to zatarg, bowiem robotnicy zapowiedzieli bezwzględną walkę, oświadczając, że na obniżkę zarobków się nie zgodzą. W przemyśle tym w Łodzi pracuje ponad 6000 robotników. Inspektorat pracy podjął inicjatywę załagodzenia konfliktu.

ZAMIANA RÓL?.

Zazwyczaj dotychczas o uprawianie teroru oskarżani byli robotnicy. W wielu wypadkach sądy istotnie poszczególnych robotników za teror karały. Ale coś się musiało zmienić w tej dziedzinie, skoro sąd grodzki w Częstochowie skazał dyrektora firmy „Netros" p. Kona i współwłaściciela p. Wekslera, pierwszego na 6, drugiego na 3 miesiące więzienia, za zastosowanie teroru wobec robotników.

Przegląd Prasy Krajowej

POKŁOSIE.

Rezolucjami niedzielnego kongresu Stronnictwa Luudowego zajęła się cała niemal prasa. Ze wszystkich artykułów przebija uznanie i niemal zdziwienie z ujawnionej na kongresie politycznej jednomyślności,

„świadczącej o zwartości wewnętrznej i całkowitem niejako demonstracyjnem zaufaniu do kierownictwa"

— pisze Kurjer Poranny, któremu obszerny artykuł sprawozdawczy ze zjazdu skonfiskowano. I wyciąga taki wniosek:

„To powinno wyprostować wiele dróżek w naszym labiryncie politycznym, usunąć wielce szkodliwe kalkulacje, opierające się na koncepcji rozbijania bez końca i bez sensu wszystkich i wszystkiego w imię miraży a z opłakanym skutkiem niszczenia ludzi i anarchizowania naszego życia politycznego."

To samo zdanie w tem samem piśmie byłoby zapewne miało znacznie większy efekt, gdyby się było ukazało... kilka lat temu.

Warszawski Dziennik Narodowy oczywiście dziwi się, że uchwały kongresu przemilczały sprawę żydowską.

Kurjer Polski, organ przemysłu, rozważa rezolucje z punktu widzenia gospodarczego. Widzi, że

„chłop, stanąwszy na gruncie własności prywatnej i demokracji, przewyższył różnych naszych reformatorów z prawa i lewa."

i korzysta ze sposobności, by uczynić wyraźną aluzję do stosunków:

„Chłop właśnie, jako ten typowy przedstawiciel własności prywatnej, najlepiej rozumie, że nie można rzeczywistości kształtować w sposób nieprzemyślany, eksperymentalny i nieodpowiedzialny."

Dzienik Bydgoski, podając

„o przebiegu kongresu to tylko, co nie zostało przez cenzurę zakwestjonowane".

pisze:

„Premjer przypomniał, że marszałek Śmigły-Rydz powiedział, iż on będzie politykował, i to powinno obowiązywać. Innego zdania jest olbrzymia większość społeczeństwa, a Stronnictwo Ludowe uznało, że sytuacja staje się niepokojącą i zwołało nadzwyczajny kongres do Warszawy.

Cała prasa lewicowa wystąpiła z jedną wielką ofertą".

Uchwały Kongresu zrobiły duże wrażenie w świecie politycznym. Oto jak je przedstawia Wieczór Warszawski:

„Zapowiedź kongresu budziła w różnych kołach rozmaite nadzieje. Ze strony pewnych czynników czyniono gorące usiłowania, ażeby ludowców wciągnąć w obręb frontu ludowego, inni zaś rachowali na rozbudzenie wewnętrznych różnic, któreby musiały doprowadzić do dalszych konsekwencyj.

Wszystkie rachuby okazały się zawodne, kongres bowiem stwierdził zarówno jednolitość partii, jak i jej zwartość wewnętrzną. W dziedzinie politycznej kongres wykazał utrzymanie dotychczasowej linji samodzielnej, opierającej się o zasady demokratyczne, a przeciwstawiającej się jakimkolwiek pomysłom dyktatury".

RYSY.

Na tle Kongresu Ludowego tem jaskrawiej występują „dekompozycje", jakim ulegają organizacje, przez długi czas kierujące życiem politycznem kraju. Czytamy w Polonii:

„Dyskusja na temat nowej organizacji politycznej społeczeństwa trwa nieprzerwanie. Obok zagadnień zasadniczych dotyka się w niej pojęć zupełnie prymitywnych, zdawałoby się dawno ustalonych i nie podlegających wątpliwościom. Dowodzi to, jak *niesłychanego spustoszenia* dokonał okres ubiegłych dziesięciu lat nie tylko w inwestycjach życia państwowego i społecznego, ale i w umysłach i duszach społeczeństwa; jak wszystko niemal stało się płynne, niepewne i wątpliwe".

Jakby umyślnie dla zilustrowania powyższych twierdzeń „Polonii" pisze w Podbipięcie p. Krzysztof Morawski:

„Kto znał przed wojną życie gospodarcze dzielnic zachodnich z ich coraz lepiej rozwijającemi się warstwami średniemi, zdumieć się może, gdy zobaczy, co z małych fabryczek i przedsiębiorstw, z gospodarstw kmiecych i placówek handlu zrobiła polityka gospodarcza państwa. Jej nastawienie na opiekowanie się tylko gigantycznemi przedsiębiorstwami, na tolerowanie tylko dyskretnie i wstydliwie chowanych bogactw jednostki (zamożność członka zarządu banku mniej jest znana, niż rzeźnika z powiatowego miasteczka), jest podstawową przyczyną braku prężności naszego życia gospodarczego".

Ilustrację zaś praktyczną tych słów znajdujemy znowu w Polonii:

„Fundusz pracy uruchomił mechaniczną piekarnię „Manna".

Skutki tego są takie, że

„Pracę straciły już dziesiątki czeladników, a około 50 warsztatom (drobnych piekarzy)grozi ruina. Jest to tylko przykład jednej gminy; suma szkód, wyrządzonych przez „Mannę", nie daje się wogóle obliczyć. Z tego powodu panuje w cechu piekarzy ogromne rozgoryczenie.

Nie wolno publicznym groszem i kosztem ruiny kilkudziesięciu warsztatów pracy wspomagać jedną wielką firmę. Drobny rzemieślnik i podatnik też ma prawo do życia. Możeby Fundusz Pracy przestał niszczyć warsztaty pracy publicznym groszem!"

Czyż można się dziwić twardym słowom, jakie czytamy w Zielonym Sztandarze:

„Nie wróżymy wielkich i trwałych wyników żadnej akcji, wychodzącej z sanacyjnego środowiska, a zmierzającej do organizowania sił społecznych, jeśli pierszym jej krokiem nie będzie zmiana obecnego systemu rządzenia, przywrócenie społeczeństwu należnych mu praw. Do tego zaś kroku nie widać na razie u kierowników sanacyjnego obozu — ochoty..."

MYSŁOWICE.

Każda katastrofa kolejowa jest straszna, ale w podświadomości szukamy pociechy statystycznej, że wszelka działalność jest nieuchronnie związana z jakimś tam ułamkiem niebezpieczeństwa. Kiedy jednak ten ułamek rośnie niepokojąco, kiedy katastrofa za katastrofą miażdży ludzi setkami, kiedy zjawisko staje się zbyt regularne, to już nie płacz, lecz groźny krzyk protestu powinien się rozlegać. Usunięto już kilku dyrektorów. A wielu potrzeba zabitych i rannych, aby ustąpił minister?

To też nie dziwić się, że najspokojniejszy z organów prasy — Kurjer Warszawski wystąpił z artykułem Biestana poprostu wstrząsającym. Artykuł starczy za wielką debatę sejmową, nawet w innych sejmach. Oto szereg przejmujących pytań:

„Może więc nietylko przyszłemu obrońcy dyżurnego ruchu Urbanka, ale i fachowym komisjom polecam mą prośbę o jak najdokładniejsze wyjaśnienie następujących faktów. Ile ma poborów Urbanek? Ile mu strącają dobrowolnie na rodzinę kolejową, na organizacje związkowe i niezwiązkowe, i na różne pomoce? Czy sam Urbanek jakiejś pomocy nie potrzebuje? O której dyżurny Urbanek rozpoczął służbę (mieliśmy pewne dane, że o godz. 8 wiecz.) i co robił przedtem: czy miał zbiórkę obowiązkową, czy też był „przeszkalany", np. na warsztatowca? Czy ostatnio nie był „przeszeregowany"? Czy miał z tego powodu przykrości i jak je znosił? Czy bał się kogoś zawsze, wiecznie i bez przerwy, czy też miewał chwile równowagi i spokoju ducha? Czy mógł czasem skupić uwagę, czy zawsze musiał stać na baczność?

Są to pytania tej samej wagi, co sama katastrofa, a może ważniejsze od niej. Takich Urbanków jest w Polsce tysiące i setki tysięcy".

Może nakońcu ta beczka krwi mysłowickiej będzie przysłowioną kroplą, przepełniającą dotąd bezdenną czaszę cierpliwości.

OSOBA I STADO.

Tygodnik, w którym za innemi cechami wybija się cecha indywidualizmu i nazwisk głośnych odpowiednio reaguje na anonimowe i stadne przejawy, które zaznaczyły się w tygodniczku „Zaczyn". Oto tekst z Wiadomości Literackich:

„Należy się uważnie przyglądać modnej w ostatnich czasach alchemji państwowej, która w kadzi rządowej tworzy zaczyn nowych sił. Pismo „Zaczyn" niedawno zrodzone w mocarstwowej kadzi, zaczyna swą działalność odkadzania młodzieży. Znalazłem tam artykulik „Pierwsze strzały", o których koniecznie trzeba pomówić. „Zaczyn" pod artykułem zamiast nazwisk podaje numery. Zwyczaj zmieniania nazwisk na numery praktykowano dotąd w więzieniach. „Zaczyn daje nam, w ten sposób przedsmak niedalekiej promiennej i bardzo totalistycznej przyszłości państwowej".

A. W.

OD ADMINISTRACJI

P.p. Prenumeratorów prosimy uprzejmie o wpłacanie prenumeraty na I-szy kwartał 1937 r. ——————————

Z Prasy Zagranicznej

GŁOS Z DALEKIEGO ZACHODU.

W chwili, kiedy wre wojna ideologiczna w Hiszpanji, kiedy dwa coraz wyraźniej zarysowujące się fronty, faszystowski i komunistyczny, usiłują przekonać wszystkich, że poza niemi niema miejsca na nic trzeciego, dochodzi nas z za oceanu głos ważki, a zupełnie odmienny — głos, zapowiadający porozumienie narodów w imię idei demokratycznej. Oto *„New York Times"* zamieszcza (podobno inspirowany) artykuł, charakteryzujący politykę i psychologję prezydenta Roosevelta z okazji pięciolecia jego prezydentury.

„Prezydent Roosevelt — czytamy tam — coraz bardziej dochodzi do przekonania, że jego misją dziejową jest wykazanie na przykładzie, że system demokratyczny jest jedynym systemem, który ma widoki powodzenia na dalszą metę. Mając za nić przewodnią wszechświatowy pokój, prezydent od dłuższego czasu nosi się z myślą zwołania konferencji szefów pięciu głównych narodów świata. Zaskoczono go nawet przy opracowywaniu szczegółów tego projektu. Przed konferencją wszyscy ci szefowie musieliby się wyprzeć ambicyj terytorjalnych, a wtedy możnaby się zająć sposobem zadośćuczynienia aspiracjom „pokrzywdzonych" bez konieczności uciekania się do wojny. Należałoby się zapewne zająć kwestją waluty międzynarodowej, aby rozstrzygnąć problematy tranferu. Należałoby zbadać możliwości zaopatrzenia wszystkich w surowce i przestudjować system zbytu nadmiernej wytwórczości".

Jest to już druga wiadomość o „chimerze" prezydenta Roosevelta: zebraniu szefów mocarstw w celu zaprowadzenia nowego porządku świata. I chociaż jest dotąd fantazją, nie rozwiała się jeszcze. Prezydent Roosevelt jest człowiekiem żelaznego charakteru i w ciągu pięciu lat swego urzędowania wykazał, że umie pokonywać największe trudności.

SPRAWA OCHOTNIKÓW.

Głosowanie w parlamencie francuskim w sprawie ochotników hiszpańskich wywołało tak w prasie włoskiej, jak w niemieckiej, gwałtowne protesty. *„Giornale d'Italia"* publikuje wielki artykuł M. Gaydy, wybitnego publicysty rządowego w prasie włoskiej, pozostającego w najściślejszych stosunkach z Mussolinim i z włoskim ministrem spraw zagranicznych. Gayda pisze:

„Nota francusko - angielska w sprawie ochotników mogłaby, zamiast krążyć po całym świecie, pozostać we Francji, gdzie funkcjonuje zupełnie jawnie centrala rekrutacyjna na rzecz czerwonej Hiszpanji. Powrót ochotników byłby faktem wymownym i jasnym".

„Politische Korrespondez" pisze:

„Prawo uchwalone przez Izbę francuską nie jest właściwie prawem w ścisłem tego słowa znaczeniu — w przeciwieństwie do uchwał, powziętych przez Wielką Brytanję. Chodzi tu raczej o rodzaj pełnomocnictwa, z którego nie będzie się wcześniej korzystać, aż dopiero wtedy, kiedy inne mocarstwa zainteresowane powezmą uchwały, odpowiadające francuskiemu pojęciu nieinterwencji".

Uważając, że artykuł Gaydy nie był zamieszczony bez porozumienia z Mussolinim konkluduje *„Paris - Soir"*:

„W skrytych zamiarach Mussoliniego leży bez wątpienia idea powrotu do paktu czterech. Stałe ataki, skierowane w stronę Francji, która jest w sojuszu z Sowietami, a z drugiej strony awanse dla Anglji, wykazują jasno, że życzonoby sobie w Rzymie, a może i w Berlinie, realizacji frontu Rzym — Berlin — Londyn, który, stawiając Francję wobec trudności, skłoniłby ją do porzucenia przyjaźni sowieckiej. A wtedy nie miałaby Francja innego wyjścia, jak przyłączyć się do trzech mocarstw zachodnich.

Że rozmowy Goering — Mussolini dotyczyły tej ewentualności, nie mamy na to dowodów, ale wszystko na to wskazuje.

O ile chodzi o przystąpienie Wielkiej Brytanji do tego projektu, to jest to, na razie przynajmniej, bardzo problematyczne. Natomiast z rzadkich lecz poważnych wskazówek, uzyskanych w ostatnich dniach w Rzymie, dałoby się z większą pewnością wnioskować, że Włochy i Niemcy są zdecydowane postępować w porozumieniu z Anglją w sprawie Hiszpanji, innemi słowy, ich nieprzejednane stanowisko mogłoby uledz umiarkowanym wpływom angielskim".

ZNOWU AUSTRJA...

Dłuższa rozmowa kanclerza Hitlera z von Papenem, posłem niemieckim w Wiedniu, zwróciła znowu uwagę prasy na stosunki niemiecko - austrjackie. Z tą wizytą zbiegły się wynurzenia o sytuacji w Austrji, zamieszczone w esseńskiej *„National Zeitung"*, któremi zainteresowały się koła dyplomatyczne i polityczne w Berlinie. Pismo, stwierdzając, że szereg dzienników wiedeńskich prowadzi oddawna kampanję opozycyjno - narodową (czytaj: hitlerowską), uważa że:

„Czas już najwyższy, ażeby narodowi socjaliści austrjaccy osiągnęli wreszcie w kierownictwie spraw państwowych miejsce, które im się słusznie należy".

TURYSTYKA.

Krynicy wyszedł na dobre przyjazd książęcej pary holenderskiej, choć ukrytej pod nazwiskiem hr. Sternberga. Ruch się znakomicie ożywił, a uzdrowisko polskie wzbudziło w całej Europie zainteresowanie. Tem boleśniejszy jest zawód miejscowości klimatycznych austrjackich. Prasa wiedeńska zaniepokoiła się tem więcej, że turystyka austrjacka, której wpływy dochodziły normalnie do wysokiej sumy 180 miljonów szylingów, w tym roku poniosła straty z powodu ograniczeń dewizowych niemieckich. Organ kanclerski *„Weltblatt"* ogłasza inspirowany artykuł, w którym zarzuca hotelarzom tyrolskim, że:

„Oczekując na przyjazd turystów niemieckich, rezerwowali dla swych hitlerowskich sympatyków pokoje i odmawiali przyjęcia innych cudzoziemców. To jest zdrada ludu austrjackiego, bo dochody turystyki oparte są na przybyszach międzynarodowych".

Podejmuje tę sprawę również *„Der Tag"*:

„A przecież nie należy zapominać, że turyści niemieccy, od czasów obniżenia taksy tysiącmarkowej, mają do dyspozycji zaledwie miljon marek, co w stosunku do 180 miljonów szylingów dewiz, wwożonych corocznie do Austrji przez turystykę światową, jest pozycją minimalną". *Azet.*

Książki nadesłane

Stefan Glixelli. W trzecią rocznicę zwinięcia 52 katedr w szkołach akademickich. Lwów 1936.

Autor zastanawia się nad bolesną sprawą prowadzeniu pamiętnych rugów uniwersyteckich. Byłoby pożądane, żeby prof. G. nie ustawał w swoich doniosłych i pożytecznych badaniach i ogłosił wszystkie dostępne dokumenty, oświetlające tę ponurą kartę z dziejów jędrzejewiczyzny. Trzeba to uczynić, zanim szczegóły, zachowane dotąd w pamięci, pogrążą się w fali zapomnienia i zobojętnienia. Będzie to przynajmniej częściowe wynagrodzenie krzywdy, wyrządzonej Szkołom Akademickim przez smutnej pamięci kłusowników na terenie polskiej kultury.

Przytaczamy wyjątek z broszury:

„Można bardzo ubolewać, ale nie należy się gorszyć, że znaleźli się tacy informatorzy i doradcy, którzy następnie, przycupnąwszy, swego hojnego patrona nie bronili, gdy go z powodu zwinięcia katedr tu i owdzie zaczęto atakować. Wszędzie przecież wślizgnąć się mogą ambitni spryciarze lub tępi gorliwcy, gotowi do wszelkich, niezupełnie bezinteresownych wysług, ale nie kwapiący się do ponoszenia niepomyślnych konsekwencyj. W dawnym uniwersytecie wileńskim położył zasługi jako profesor chirurgji Wacław Pelikan, jednak porozumiewał się w sprawie usunięcia czterech profesorów i sekretarza uniwersytetu, a zapisany jest tak ujemnie w pamięci polskiej, że nawet nie chciałbym zestawiać z nim „bardzo wybitnych fachowców", którzy, 109 lat później, *porozumiewali się w sprawie zwinięcia 52 katedr*".

Jan Belcikowski. „Ostoja" Marji Paruszewskiej w Poznaniu. Poznań 1936.

„...Tam planowały się koncerty, projektowały się wielkie niekiedy imprezy teatralne, tam pisało się setki, tysiące listów, recenzyj, tam tworzyły się melodje, pieśni, przekłady, tam wrzało od debat i dyskusyj, tam się odżywiało ludzi, układało ich do snu i przykrywało wzorzystemi kocami, a gdy zaszła tego potrzeba, to nawet cerowało im się garderobę i przyszywało oberwane guziki... Atmosferę duchową, która prześwietlała komnaty tej jedynej w swoim rodzaju Samarytanki, charakteryzują setki listów, przechowanych w jej zbiorach, a w każdym z tych listów ktoś o coś jej prosi lub za coś jej dziękuje".

Chowanna Miesięcznik. R. VII. zeszyt 10, grudzień 1936. Treść: *Dr. Ludwik Chmaj:* Pedagogika socjologiczna Emila Durkheima. *Józef Pieter:* O stopniu zależności inteligencji od warunków socjalnych. — Recenzje i sprawozdania. — Przegląd czasopism pedagogicznych. — Kronika Instytutu Pedagogicznego. A. Z.

ADMINISTRACJA otwarta codziennie, prócz niedziel i świąt, od 10 do 14-ej. REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od 11 do 14-ej. Konto w P. K. O. Nr 22822. Prenumerata wraz z przesyłką wynosi: w kraju zł. 1,50; zagranicą zł. — 2,— miesięcznie. Ogłoszenia: 1 stronica — zł. 200.—; ½ st. — zł. 125,—; ¼ str. — zł. 75,—. Rękopisów niezastrzeżonych nie zwraca się.

REDAKTOR: RYSZARD ŚWIĘTOCHOWSKI. **WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „NIWA", SP. Z OGR. ODP.**

Zakłady Graficzne DRUKPRASA, Nowy-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.